

książki dla wszystkich.

10 kop.

Cena 20 kop.



O KOMEDJACH
ALEKSANDRA
hr. FREDRY

(OJCA)

NAPISAŁ

Florjan Łagowski

NAKŁADEM M. ARCTA

W WARSZAWIE

22/23

10
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

O KOMEDJACH

ALEKSANDRA hr. FREDRY

(OJCA)

napisał

Florjan Łagowski.



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1901



Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Марта 1901 года.

254091

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0113851

W-61/2001

15,



W S T E P.

282. Nj. Główna

Historycy naszej literatury tak mówią o Fredrze: «Jak komedje Moliera, powiada Stanisław hr. Tarnowski, tak komedje Fredry nie zwiędną i nie przemina. Po wiekach będą miały jakiś staroświecki kształt i pozór, ale w głębi zachowają młodość nieśmiertelną i prawdę niezmienną dla wszystkich czasów. A jak we Francji setki ludzi pisało komedje, ale Moliera żaden nie dosięgnął, tak na dziesiątki ludzi, którzy je pisali w Polsce, Fredro jest jeden» ¹⁾. A Piotr Chmielowski tak się odzywa: «Fredro dał nam komedję typów powszednich tak wesołą, tak plastyczną, tak dowcipną, jaką u nader niewielu tylko narodów

¹⁾ Rozprawy i sprawozdania.

znajdujemy: u Rzymian Plaut, u Francuzów Molier mogą być jedynie zestawieni z naszym Fredrą. Zarówno dla komedjopisarza, jak dla nas chlubny i sławy w tem dosyć» ¹⁾). Przytoczone tu słowa znawców naszej literatury dosadnie określają znaczenie tego wielkiego pisarza, o którego utworach mówić zamierzamy.

Aleksander hrabia Fredro urodził się w Surochowie (w Galicji pod Jarosławiem) w roku 1793. Matkę stracił wczesnie; wychowywał się w domu na wsi przy ojcu, pod kierunkiem domowych nauczycieli. W szesnastym roku życia wstąpił do 5-go pułku konnych strzelców Księstwa Warszawskiego, posunął się szybko na oficera, w roku 1812 był już kapitanem i walczył we wszystkich niemal wielkich bitwach napoleońskich w r. 1813 i 1814, jako adjutant sztabowy marszałka Berthier. Po wojnie czas jakiś przebywał w Paryżu. Tu poznał teatr, a na nim komedje Moliera, które rozwinęły w nim

¹⁾ Nasza literatura dramatyczna.

zamiłowanie, budzące się już w wieku chłopięcym, do literatury dramatycznej i utrwały kierunek, którym w naszej literaturze zasłynął. Powróciwszy do kraju, osiadł na wsi we własnym majątku, skąd rzadko już gdziekolwiek na krótko wyjeżdżał.

Osiadłszy na wsi, począł pisać dla teatru. Pierwszy swój utwór posłał do Lwowa, a gdy dyrektor teatru utworu tego nie przyjął, młody autor zniszczył go, ale pisać nie przestał. Niebawem posłał drugi utwór do Lwowa, a gdy i tego nie przyjęto, wyprawił go do Warszawy, gdzie teatrem kierował Ludwik Osiński.

Sztuka ta została przyjęta i w roku 1821 wystawiona. Była to komedja «Pan Geldhab». Publiczność przyjęła ją bardzo przychylnie, co zachęciło autora, i odtąd rok rocznie przysyłał do Warszawy swoje komedje. W przeciągu lat 14 napisał 19 sztuk teatralnych, które ustaliły jego sławę, jako znakomitego i ulubionego komedjopisarza.

Atoli nagle, podobno po odczytaniu

jakiejś złośliwej krytyki o swoich komedjach, od r. 1835 zaprzestał zupełnie oddawania ich. Jeżeli co pisał odtąd, zamykał skrupulatnie w swej tece i tylko najbliżsi mogli znać ówczesne jego utwory. «Życie wiódł niezmiernie jednostajne i ciche (pisze St. hr. Tarnowski), z wiekiem tylko zapadać zaczął w smutek coraz cięższy.» Umarł po ciężkiej chorobie we Lwowie 15 lipca 1876 r.

Po jego śmierci znaleziono w tece 18 utworów scenicznych i te wraz z innymi pismami i poprzednimi komedjami ogłoszono drukiem w 12 tomach. Niektóre z tych pośmiertnych komedji, wystawione na scenie, doznały wielkiego powodzenia.



ROZDZIAŁ I.

Rozpocniemy rozpatrywanie komedji Fredry od tej, która najpierw ukazała się na scenie warszawskiej— od «Pana Geldhaba».

Główną myśl komedji określił autor w zdaniu: «Nie dojdzie, niech kto, jak chce złości się i puszy, prawdziwego szlachectwa bez szlachetnej duszy». Nie dojdzie do zaszczytów, o których marzy wzbogacony Geldhab, bo w jego duszy niema tych szlachetnych pierwiastków, które do godności torują drogę.

Geldhab—mieszczanin, niewiadomo skąd przybył do Schowa. Zostaje tam obrany burmistrzem i wkrótce na tym urzędzie zdobywa znaczny majątek. Fortunę swoją powiększa w dwójnasób przez dostawy prowiantów dla wojska.

Oto jak jedna z figur komedji charakteryzuje naszego bohatera:

«Geldhab, jak wszystkie jemu podobne istoty,
 Których wyniósł z pomiotu zysk, ale nie cnoty,
 A ślepe szczęście wzniosło na przewrotnem kole,
 Jest próżnym i nadętym, brudnym sknerą w domu,
 Podły i cheiwy w sprawie, uczynny nikomu.
 Lecz niechaj świat nań patrzy, gotów dla pozoru
 Zostać chwilę wspaniałym i mężem honoru.
 Jego ukłon, krok, uśmiech, wszystko wymierzone;
 W drobnostkach wrażliwy, bo kto w jego stronę
 Nie dość się skłoni, spojrzy, zniży kapelusza,
 Już mu chybia i godność na wieki obrusza.
 Mówiąc o gwiazdach, słońcu, lub świata początku,
 On zawsze wspomnieć musi o swoim majątku;
 U niego *ja* i *moje* w jakimkolwiek względzie
 I pierwszym i ostatnim słowem zawsze będzie.
 Nareszcie poufałość blizka grubijaństwa
 I tylko próżna dusza jest w nim cechą
 Jest to obraz takiego, który... [państwa...
 Był niczem, jest bogatym, będzie znaczył w świecie.»

Takim jest istotnie bohater tej komedji. Wzbogaciwszy się, pragnie teraz wywyższenia przez wydanie swej jedynaczki za księcia. Młody książę, zmarnowawszy majątek rodzinny, zgłasza się istotnie i mimo to, że owa jedynaczka zaręczona już została przed rokiem z zacnym młodzieńcem, nie waha się ani ojciec, ani godna jego córka zerwać z narzeczonym, byle mitrą książęcą ozdobić swoje czoło.

Cały charakter Geldhaba zarysowuje się już w pierwszym akcie. Dumny, pyszny z nowej koligacji, przygotowuje apartamenty i służbę na przyjęcie książęcego zięcia.

A, na mój honor, dobrze, kształtnie i gustownie;
 Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
 Haftów, frendzli, muślinów suto i bogato,
 Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.

Zapytuje się potem: «Cóż, liberja dla dworu gotowa?» A gdy dostaje odpowiedź, że gotowa i że fraki służby ozdobione są tylko jednym galonem, gdyż taka obecnie jest moda, powiada:

«Takie dobre gusta
 Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta.
 Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy
 mu wszędzie,
 Więc galon w mojej barwie niechaj w *troje*
 będzie.»

Oburza się na służącego, że nie
 wszystko srebro kredensowe wystawił
 na przyjęcie księcia, a gdy odebrał
 odpowiedź, iż nie zmieści się na stole,
 woła:

«Co na stole nie zmieścisz, to postaw na
 boku,
 Czegóż się patrzysz?... Jakże? czym na to
 kupował,
 By nikt ich nie widział? co? będę srebro
 chował?
 Luks, luks u mnie być musi, zbytek, prze-
 pych wszelki...»

Najbardziej charakterystyczną jest
 dobroczynność Geldhaba. Nie waha
 się rzucić pieniędzy, jeśli w gazetach
 pisać będą o jego ofiarności. Tak
 np. powiada, że pragnąłby, aby o jego
 ofierze wydrukowano w gazecie:

«Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Sa-
 mochwały,
 Przybyszowie, Grypsowa, Lówki et cetera,
 Et cetera—pamiętać! który równie wspiera

Licznych swoich poddanych, jak wszystkich
 dookoła,
 Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła,
 Raczył dać na spalone Bambergą przed-
 mieście
 Z zwykłą hojnością złotych polskich: ty-
 siąc dwieście.»

Ten Geldhab, tak hojny w tym razie,
 odmawia pomocy ubogiej swej siostrze,
 tłómacząc się, że mu potrzeba pienię-
 dzy, bo córkę wydaje za księcia. Za-
 lecając służbie wystąpić przed gośćmi
 z całym przepychem, rozkazuje po
 uczcie «resztki wina zcedzić do jednej
 butelki».

Próżność Geldhaba nie ogranicza
 się na błyszczeniu złotem, pragnie on
 jeszcze błyszczeć świetnością rodu,
 każe więc malarzowi narysować swoje
 drzewo genealogiczne.

«Chciałbym mieć rys pokoleń mojego
 imienia:
 Niby drzewo wyrasta z rycerza ramienia,
 Z tego pięknie wyrosłe różne mając związki,
 Niechaj idą gałęzie, a z tychże gałązki;
 A z pnia najprościejszego jedna w samej
 górze,
 Niechaj będzie—*ja*. Wszystko na jasnym
 lazurze.»

Gdy malarz żąda dokumentów rodowych, Geldhab odpowiada, że kto historję zna, ten bez dokumentów może stworzyć świetny rodowód. Oto np. powiesz:

«Że pierwszy Geldhab, sławny dzięły wojennemi,
Wraz z Henrykiem Walezym z szwedzkiej przybył ziemi;
Potem... że... za... Jagiellów przez czas bardzo długi
Wielkie zawsze ojczyźnie czynili usługi.
Lecz gdy... Krakus świętego zabił Stanisława,
Wraz z nim Geldhabów rzymskie wypędziły prawa.»

Pycha Geldhaba zostaje nareszcie zadowolona: przybywa książę, który mimo wstrętu do przyszłego teścia i jego córki, godzi się na ożenienie. Ale cóż? przybywa i dawny narzeczony, młody, dzielny oficer i pyta, co się stało z danem mu słowem. Na to Geldhab odpowiada:

«Cóżto, waćpan mniemasz
Być rzeczą niepodobną, godną podziwienia,
Że mój rozum ojcowski układy odmienia?
Że dla większego dobra mniejsze dobro mija?»

Że pan z panem się łączy, że pan panu sprzyja?
...A... a... więc widzisz, mówmy, lecz mówmy bez zwady,
A poznasz, jak prawemi są moje zasady:
Znaczenie jest znaczenie, i znaczenie znaczy...
Któż znaczenia w złączeniu z księciem nie zobaczy!
Nie gniewaj się i rozważ szybkoim twem pojęciem,
Żeś ty tylko szlachcicem, a książę — księżciem.

Naturalnie oburza się nasz młody oficer na takie rezonowanie, a nie przypuszczając, że córka Geldhaba jest tego samego co i ojciec zdania, wraz z przyjacielem swoim, energicznym majorem, postanawiają zmusić księcia do ustąpienia, a Geldhaba powstrzymać od tyranizowania córki. Tymczasem piękna Flora z dumą oświadcza narzeczonemu, że nietylko o jego miłość, ale i szacunek nie dba, bo: Szacunek szlachty *panom* jest winną daniną, A ich (szlachty) złość i obmowa pośród wzgardy giną.»

Pyszni dorobkiewiczze nie dochodzą jednak do celu; książę bowiem, otrzy-

mawszy nagle spadek po ciotce, oświadcza wręcz, że nie myśli już o małżeństwie z Florą. Geldhab, upokorzony, oznajmia teraz narzeczonemu córki, iż gotów mu oddać jej rękę, ale i to się nie udaje, bo szlachetny młodzieniec oświadcza:

«Nie, w jej duszy zmianie
Uczynić ją szczęśliwą nie byłbym już
w stanie.»

Geldhaba zaś żegna temi słowy:

«Dobrze! Takato dumy zwykła jest zapłata:
Nadzieje zawsze próżne i wzgarda u świata.»

Słowa majora, również zwrócone do Geldhaba, kończą komedję:

«Nadtoś myślał o księstwie, gdy książe
o groszu,
Tak osiadłeś na lodzie, a córka na koszu.»

Krytyka niemało robi zarzutów tej komedji pod względem artystycznym. Postać Geldhaba, powiada, nie jest nową; takich spanoszonych pyszałków widziało się nieraz na scenie i w powieściach. Znać w tej pierwszej komedji brak wprawy w młodym pisa-

rze, niepotrzebnie spotyka się tu moralizowanie, bo widz przecież sam sobie zdaje sprawę z faktów. Zarzuca też, że mogłoby się w komedji obejść bez pewnych osób. I przesady tu jest niemało, bo można nie być wykształconym, ale do tego stopnia, aby przytaczać Krakusa jako zapobiegającego świętego Stanisława, lub Koperminkę i Nilsona pasować na poetów — to za wiele. Uwagi te krytyków są słuszne. A jednak mimo to komedja ta może najwięcej miała powodzenia ze wszystkich komedji Szodry. Powodem tego jest zapewne humor, który jej od początku do końca nie opuszcza: co chwila nowy komizm wywołuje śmiech serdeczny. Ale sympatję widza budzi i utrzymuje jeszcze to, że komedja ta ośmiesza i karci postać pyszałka bez serca, bez charakteru, dogadza więc temu ogólnemu poczuciu, które pragnęłoby wytepić z pośród siebie takie nieznośne figury. Z osób tu występujących najmniej udatną zdaje się Flora. Mało jest ona zabawną, a ta sprzeczność, jaką się spostrzega, że

poważnie myślący Ludomir mógł pokochać istotę tak niemądrą, jaką się okazuje przy pierwszym spotkaniu z księciem, przed którym nie umie się miarkować z przechwałkami o swoich poetycznych upodobaniach—razi. Oto jak Flora opowiada księciu o sobie: mówi, że płakała, czytając bajkę wesolą, bo ona

«...nad przyjemnym często stylem płacze»,
Kwilić się zaczynam, gdy książkę zobaczę.
Kaźde *ach* lub *niestety* już mi lży wyciska,
A cierpię na wspomnienie miłości nazwiska.

Cóż dopiero ze mną się nie dzieje,
Jakież niebieskie czucie w sercu mem nie tleje,

Jakiż mojej istoty ogień nie porusza,
Jakże się nie unosi zachwycona dusza,
Kiedy czytam sere tkliwych cudne piórotwory,

Owe sztuki miłości doskonałe wzory!...
Czyjaż moc przyrodzenia może być tak twarda,

By nie płakać nieszczęścia cnego Abelarda...
i t. d. i t. d.

To też wysłuchawszy te przechwałki, mówi książę do siebie tę uwagę:

«Otóż rozum na sprzedaż bez żadnego składu.»

Popisywanie się Flory ze swoją sentymentalnością tem więcej razi dzisiaj, że podobne cechy nie zaliczają się do modnych. A jakkolwiek wówczas zasługiwały na ośmieszenie, jako zbyt częste zjawiska, to przecież sama gotowość Flory do «przedaży rozumu bez żadnego składu» świadczy o braku w niej taktu i smaku, tak, że dobrze wychowany Lubomir nielstwo chyba mógł tego nie dostrzedz. Mimo jednak i tej na obecne czasy niemilej już nawet i niezrozumiałej postaci, komedja ta długo jeszcze żyć będzie na scenie, a choć nie wytepi zapewne nigdy Geldhabów, to chyba przyczyniać się będzie niemało do powstrzymywania spanoszonych pyszałków od ujawniania tych cech, które tak dosadnie ośmiesza.

Do najlepszych utworów Fredry zaliczają krytycy jednoaktową komedijkę p. t. «Zrzędność i przekora». Przedstawieni tu są dwaj bracia, prowadzący ustawiczne spory ze sobą: co jeden chwali, drugi gani, co jeden postanowi, drugi nie dozwala. Bracia

owi mają pod wspólną swoją opieką synowicę, Zofję, która pragnie oddać rękę młodemu Lubomirowi i oświadcza to stryjom. Zapewne obaj nie byłiby temu przeciwni, ale jeżeli jeden się na to zgodzi, to drugi na złość bratu zgodzićby się nie mógł. I istotnie—jeden z braci zgadza się, ale drugiego młodzi kochankowie nie mogą uprosić o podpisanie zezwolenia. Lubomir, straciwszy nadzieję otrzymania ręki Zofji, odchodzi, ale na odchodnym wypowiada śmiało, bez ogródki to, co myśli o nieznośnych braciach. Naturalnie — obaj bracia wzburzeni do najwyższego stopnia. Pozostawszy sami, rozpoczynają znów kłótnię na temat perory, jaką od Lubomira usłyszeli. Piotr wyśmiewa Jana, że zgadzał się na oddanie ręki Zofji temu, co tak zuchwale jego kłótniwość odmalował. Cieszy się więc, że Jan taką nedorzecznosc popełnił i udowadnia, że on właśnie ma słusznosc. Jan, chcąc bratu dokuczyć, w jego oczach podpisuje zezwolenie. Piotr nie może w to uwierzyć, ażeby

Jan, spotwarzony przez Lubomira, nie pragnął zemsty, lecz chciał szczęścia potwarey. Podejrzewa zatem, że Jan podpisał zezwolenie jedynie w tej myśli, że go on (Piotr) nie podpisze; tym sposobem Lubomir nie dostanie Zofji, i dokuczy się Piotrowi, bo zrobi się to, co on wyszydzał. Ażeby plany brata sparaliżować, chwytą za pióro i na złość Janowi — podpisuje zezwolenie. Mimo więc woli zrządy i przekory młoda para zostaje uszczęśliwiona.

‡ Rozwiązanie zatem intrygi najmniej spodziewane, a z natury osób konsekwentnie wyprowadzone. Trzeba też przyznać, że, niestety, wśród nas zjawiska takich waśni spotykały się i spotykają. Tylko nie zawsze taki obrót rzeczy biorą, aby otaczający byli wskutek nich uszczęśliwieni.

«Co za pomysł głęboko komiczny — pisze o tej komedji Tarnowski — i co za wykonanie, co za wyborna charakterystyka tych dwóch braci wiecznie z sobą w wojnie, z których każdy robi w końcu to, czego sam najbardziej

nie chce, na to tylko, ażeby drugiemu dokuczyć!... Od początku do końca... te dwie figury zmarszczone, zadane, żółciowe i kwaśne, są i bardzo komiczne i bardzo prawdziwe.»

Do arcydzieł literatury naszej zaliczają powszechnie «Śluby panińskie czyli magnetyzm serca», komedję w 5 aktach wierszem. Urok jej stanowi głównie piękna poetyczna grupa trzech młodzięcych postaci: Gustawa, Anieli i Klary, chociaż i inne osoby bardzo wdzięcznie zlewają się w harmonję z całą sztuką. Treść tej komedji niewyszukana, przedstawia zwykłe życie naszych rodzin szlacheckich; bohaterowie nie należą do nadzwyczajnych, ale są tak sympatyczni, a prawdziwie swojscy, że się w nich rozmiłować trzeba koniecznie. Radost, stryj i opiekun młodego Gustawa, uradził z panią Dobrójską, matką Anieli, że Gustaw z Aniela stanowiąc będą dobrane małżeństwo. Przywozi więc Radost swego pupila na wieś do domu pani Dobrójskiej. Rozpieszczony przez stry-

ja a i przez los, Gustaw nie zadaje sobie trudu w pozyskaniu serca Anieli, pewnym będąc siebie, bo dotąd zawsze doznawał powodzenia wśród płci pięknej. Zraża takie postępowanie wiejskie panie, tem więcej, że prawie z lekceważeniem ich graniczy. Dlatego Klara, energiczna, samowolna, a mająca przewagę nad łagodną Aniela, wpływa na nią, aby nie poślązała Gustawowi, ba, nakłania nawet do tego, iż wraz z nią składa śluby:

«Przyrzekamy na kobiet stałość niewzruszoną
Nienawidzić ród męski, nigdy nie być żoną.»

Na te postanowienia wpływa głównie zapewne zbyt swobodne zachowywanie się Gustawa, ale też i to, że panny naczytały się powieści o niegodziwych mężach, o zarozumiałości mężczyzn i t. d.

Gustaw spostrzega niebawem, że spotyka go los taki, jaki już spotkał Albina, konkurenta Klary, że i jego tak odtrąci Aniela, jak Klara Albina. Miłość własna Gustawa zraniona, ale uf-

ności w sobie nie traci. Postanawia działać podstępnie: udaje przed Anielą, że kocha nie ją, lecz inną jakąś Aniele; jeżeli zaś starał się o jej rękę, to dlatego, że stryj, jego opiekun, żywiąc śmiertelną urazę do ojca tamtej Anieli, stanowczo opiera się połączeniu dwóch serc sobie oddanych i zmusza go do starania się o rękę obecnej tu Anieli. Cieszy się więc z tego, że go tu odrzucają, ale jeżeli już podobać się nie ma szczęścia, to dla czegożby nie budził współczucia, jako nieszczęśliwy, dla czegożby nie miał uzyskać pomocy tak złotego serca istoty, jak Anieli? Naturalnie dobra Anieli nie odmawia pomocy nieszczęśliwym kochankom, obiecuje prosić swej matki o wstawienie się za Gustawem do Radosta. Ale cóż więcej zrobić może? Trzeba i coś więcej: oto ukochana Gustawa z tęsknotą oczekuje wiadomości o nim, a tu zraniona ręka pisać do niej nie pozwala. Kogóż prosić o wyręczenie? Niebezpieczne to, bo sekret mógłby być zdradzonym. Niech-

że więc i to dobrodziejstwo wyświadczy dobra Aniela i napisze list, który jej Gustaw podyktuje. Aniela zgadza się; i zasiadają do listu. Słowa listu, które Gustaw dyktuje, i to, co on mówi o miłości, przekonywują Aniele, że ten Gustaw umie istotnie kochać, nadto czar miłości i jej się udziela: pragnie miłości i zapytuje siebie, czemuż jej nikt tak nie kocha? Spostrzeżga Gustaw tę zmianę, widzi i dobroć Anieli i cierpienie z budzącej się nieświadomie zazdrości, rzuca przybraną podstępnie rolę, błaga o przebaczenie i oświadcza, że tą ukochaną jest nie kto inny, tylko ona sama. Przebaczenie uzyskuje łatwo i komedja skończyłaby się, gdyby nie trzeba było jeszcze złamać uroczystego ślubu i—Klary. I na to ma Gustaw sposób. Wmawia w Klarę, że Albin przestał się już w niej kochać, natomiast stryj, stary Radost, postanowił się z nią ożenić. A nie będzie on liczył się z jej oporem, lecz uda się do jej chciwego ojca i uzyska zezwolenie, bo cały duży swój majątek Klarze chce

zapisać. Przerażona Klara woli już młodego a nieobojętnego dla niej Albina i rękę mu oddaje. Zakończyło się więc wszystko pomyślnie.

A oto, co Tarnowski o zaletach tej komedji pisze:

«Ci troje (Gustaw, Aniela i Klara) są niezrównani. Klara ze swoim ostrym języczkiem, zawsze gotowa do odpowiedzi, dzielna w ataku, nieustraszona w odparciu, a nawet kiedy już zmuszona do odwrotu, cofająca się w porządku; kiedy kapitułuje, to ze wszystkimi honorami... Od pierwszej chwili, kiedy się zjawia na scenie, jak fajerwerk wesołości i dowcipu, nie podupada, nie słabnie nigdy: zabawna, kiedy naucza Anielę, że

«Do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla siebie, kocha dla pokuty.»

Pusta, kiedy powtarza, co «babunia jej śpiewała», nielitościwa, kiedy drwi z Gustawa, paradna, kiedy zgorszona i oburzona woła: «I jakże ma być porządek na świecie, kiedy mężczyźni chcą rządzić? «najładniejsza jest dopie-

ro wtedy, kiedy się lasi Gustawowi, szuka Albina, Radostowi depce po nogach, a Anieli tłumaczy, że jedna powinna złamać śluby, żeby choć druga mogła ich dotrzymać. Klara w kłopotach, w strachu, Klara pobita tak przewyższa samą siebie, że każdy, ktoby taką spotkał, mógłby sobie mówić: «Ach, strach! trzymaj się, Albinie!»

Która z nich ładniejsza? Klara ze swoim charakterem śmiałym i ze swoim świetnym dowcipem na pierwszy rzut oka olśni bardziej, zrobi więcej efektu. Była też zapewne łatwiejsza do odmalowania. Aniela spokojniejsza, poważniejsza, uważająca na każde swoje słowo, nie ma tak błyszczącego pozoru. A jako trudność: co może być trudniejszego, jak stworzyć taki typ panny, jak być powinna, a nie zrobić jej ani pedantką, ani trusią ze spuszczonej oczyma i zasznurowanymi ustami, ani zbyt naiwną, ani sztywnie godną, tylko właśnie w każdym słowie, w każdym ruchu taką, jak być powinna, taką, jaką każdyby chciał,

aby była jego siostra albo córka. Aniela jest w całym znaczeniu słowa—porządną panną. Klara także jest bardzo porządną, ale jest trochę kozak. Aniela jest bez restrykcji i zupełnie taka, jak potrzeba. Ale dlatego właśnie, że nie ma żadnych dodatków, że ma postawę tak spokojną i cichą, na pierwszy rzut oka przy Klarze może się wydać indywidualnością cokolwiek bierną i bladą. Mogłaby nawet taką być, gdyby nie jej wdzięk kobiecy; gdyby nie to uczucie, które w niej rośnie, a wyraża się tak mimowolnie a tak ładnie; gdyby nie ta ciekawość urocza, z jaką ona o miłości myśli, gdyby nie te naiwności cudowne, które czasem jej sekret zdradzają, gdyby nie ta godność prosta i nieświadomość siebie, z jaką ona odrzuca pierwsze oświadczenie Gustawa; gdyby nie zdziwienie nieprzyjemne, z jakim się dowiaduje, że to miłość ku innej osobie; gdyby nie ten popęd serca tak młody, tak dziewczęcy, tak łatwowierny, za którym idąc, chce pomagać w tej sprawa-

wie; gdyby nie to, że na propozycję Gustawa odpowiada nawet nie oburzona, tylko zdziwiona: «co, takie listy ja bym pisać miała?» i gdyby nie to, że takie listy przed matką chowa... «anioł przez miłość, dziecko przez wiarę, kobieta przez serce, poeta przez marzenie—oto polka» — mówi francuski autor. Można by dodać—to Aniela! i jedno byłoby prawdą i drugie, bo z pewnością jest ona jednym z najwierniejszych i najładniejszych typów polskiego dziewczęcia... A ten list i scena, która go poprzedza, co za prześliczny duet miłosny!... Jest i komedia w tej scenie i to komedia najwyższa, najwykwintniejsza, jaka być może, np. kiedy Gustaw, zawoławszy w uniesieniu: «Kocham cię nad życie», miarkuje się i dodaje: «Pisz z łaski swojej», a biedna Aniela, która już była zapomniała, że to nie do niej, pyta smutna, co ma pisać dalej? Ale co za wdzięk komedji, co za wdzięk poetyczny, co za śpiew miłości, kiedy Gustaw uczy Anielę wymawiać ten wyraz, którego Walenrod nauczył wymawiać Aldonę, albo

kiedy wpaja w nią wiarę, że «są dusze dla siebie stworzone», albo kiedy maluje to, co

Kiedy polot myśli
Obraz nam szczęścia czasami nakreśli,

staje zawsze na pierwszym miejscu w tym obrazie. Mężczyzna mówi tem śmielej, tem goręcej, kobieta tem śmielej słucha, że niby o innej; on szczęśliwy odbywa tę chwilę obecną, jak gdyby próbę szczęścia przyszłego, kiedy jej wprost będzie mógł powtórzyć to samo: czuje razem rozkosz, którą ma, i przecucie tej, której się spodziewa. U niej dusza się otwiera, jak kwiat pod promieniem słońca, pod wrażeniem tych słów, których nie byłaby chciała słuchać, gdyby były do niej wprost wymierzone. Jak ślicznie wyglądają: ona z piórem w rękę, on schylony nad jej głową, mówiący rzeczy, których ona do siebie nie bierze i korzystający z tego, że ona nie widzi, żeby na nią patrzeć z rozczuleniem, z uniesieniem...

A Gustaw? Gustaw jest najmiłszy

trzpiot i najładniejszy kochanek w polskim teatrze... Filut, pieszczoł, zepsute dziecko ze stryjaskiem, fanfaron z pannami jak długo nie kocha, od chwili, kiedy kochać zaczął, zmienia się, dojrzewa i z miłego fircyka robi się mężczyzna, który chce i wie, czego chce i czuje swoją siłę. Wesołości, dowcipu, żywości nie traci, ale nabiera takiej pewności siebie, takiej równowagi, takiej wyższości wobec Anieli i Klary, że żadna już nie śmie z niego żartować, że jedna go kocha, a druga, co dziwniejsza, słucha, choć nie kocha. Wyszedł na człowieka w przeciagu kilku godzin. A z jaką wymową, z jaką siłą umie wycisnąć «swoich uczuć piętno» na sercu Anieli, jak umie i rozkochać i być zakochanym, jak jest przytem mądry w postępowaniu z Anielą, jak dowcipny z Klarą, jaką ma filuterję i kokieterję z Radostem: niedziw, że wie, co to magnetyzm, bo działa magnetycznie na wszystko, co się do niego zbliży, od Anieli aż do czytelnika.»

Przypatrzmy się choć paru scenom ze «Ślubów».

ANIELA. Słyszał Radost?

GUSTAW. Nie słyszał.

A. Ach! oddycham przecie!

G. Wszystkom naprawił.

A. Ginełam z bojaźni!

G. *(biorąc ją za rękę).*

Tyle dobroci tak rzadkiej w tym świecie,

Tyle dowodów troskliwej przyjaźni,

Ileż wdzięczności nie obudza we mnie!

A. Cóż uczyniłam wdzięczności godnego?

G. Chcesz dobrze czynić?

A. Wszakże tak przyjemnie.

G. Masz dziś sposobność.

A. Proszę wskazać drogę.

G. Ręką skaleczył.

A. I bardzo?

G. Nie złego,

Lecz pióra całkiem utrzymać nie mogę.

(Nieśmiało) Gdybyś w tym razie zastąpić
[mię chciała.

A. Pisać? i co?

G. List.

A. List? Ach, nie.

G. Dwa słowa.

A. Dwa? a do kogo?

G. Do mojej Anieli.

A. Co? takie listy jabym pisać miała?

G. I cóż w tem złego?

A. Daremna namowa.

G. *(żałośnie).* Ręką skaleczył.

A. To może kto drugi...

G. Ach! któż na świecie moje troski dzieli?

Komuż się zwierzyć, gdzie szukać usługi,

Kiedy przed tobą daremnie się żalę?

A. *(chodząc i pół z płaczem).* Cóż ja mam
robić?... *(Po chwili).* To nie pisać wcale...

G. Jeszcze, Anielo, w kwiat życia bogata,
Znasz tylko rozkosz, a nie znasz cier-
pienia;

Jeszcze szczęśliwa, nie znasz oddalenia!

Nie wiesz, że wtedy cały ogrom świata

Jeden punkt tylko dla nas w sobie mieści,

A tym jest chwila spodziewanej wieści.

Nie wiesz, jak wtedy śledece oko płonie,

Jak każdy szelest dech zapiera w łonie

I jaka boleść, gdy mija godzina,

Z nią wprzód spleciona pociecha jedyna.

A. Otóż to miłość, Kochajże tu, proszę!

G. Ach, Kochaj, Kochaj! boskie to rozkosze!

A. Ach, nie!

G. Dlaczego?

A. Nie wiem, lecz się trwożę.

G. Trwożysz?

A. Lękam się...

G. Jak dziecię lekarza,

Który mu jednak życie wrócić może.

Ach obojętność naturę znieważa:

Dusza niezdolna kochać, wybrać inną,

Zimną rachubą każde serce zaemi;

Dla niej jest niczem dla drugich być
czynną,

Dla niej łza niema, ludzie nie są braćmi.

Lecz gdy miłością serce moje bije,

Gdy powiem: Kocham — wtenczas tylko
żyję!

Żyję szczęśliwy i w lubym zamięcie

Świat do podziału pociągam w objęcie.

.....

- A. (*bierze pióro*). Piszmy więc.
 G. (*z uczuciem*). Aniele kochana! (*Po krótkim milczeniu, gdy Aniela okazuje zdziwienie*). Pisz z łaski swojej.
 A. Myli mię to imię. (*Napisawszy, do siebie—myśląc o rzekomej miłości ku niej Albina*). Mnie, kocha?
 G. (*z zazdrością*). Czyliż Albinowskie żale, Dary wzgardzone, niegodna odmiana (*bo Albin kochał przedtem Klare*) Zająć potrafią, pochlebiać ci mogą?
 A. Czym zasłużyła na takie pytanie?
 G. Przebacz, zbłądziłem uniesiony trwoga, Bo ja wiem jakiej duszy trzeba; Ukocha więcej, niż wyrazić zdoła, Choć każdy wyraz miłością się stanie.
 A. Piszmy więc.
 G. Piszmy: Dobroci aniola
 W naszym nieszczęściu zsyłają nam nieba:
 Wziął pióro w rękę, nieść ulgę tęsknocie...
 Jakież ci imię moje serce nada,
 Za twoją dobroć, za dobrodziejstw krocie?
 A. Piszmy więc.
 G. Piszmy: «Nie bądź już w obawie:
 Osoba, z którą stryj chciał mnie ożenić,
 Nienawidzi mię...»
 A. Nie, panie Gustawie.
 G. Jakże napisać?
 A. Potrzeba odmienić!
 G. Popraw, jeśli chcesz.
 A. O, chętnie poprawię!

U. Burgés
Kultur, Lyga Biblioteka

- G. (*czyta przez ramie*): «Sprzyja» (*biorąc za rękę*): Czy pewnie?
 A. (*wyciągając rękę z wolną*): Trzebaż słów koniecznie?
 G. Znasz mię więc teraz?
 A. I jak!
 G. To poznanie
 Czy kiedyś, zczasem przyjaźnią zostanie?
 A. Jest i zostanie.
 G. (*z wzrastającym zapalem*): Zawsze? wiecznie?
 A. Wiecznie.
 G. Dostyc już tego, precz wszelkie ukrycie!
 Kocham, Aniele, kocham cię nad życie!
 A. (*odsuwając się, zdziwiona*): Jakto?
 G. (*miarkując się*). Pisz z łaski swojej.
 A. (*chce pisać*). Jak tam było?
 Kocham...
 G. Ach, powtórz!
 A. Kocham cię nad życie;
 Wszak tak; a dalej?
 G. Dalej? Wierzyć miło.
 A. Piszmy więc.
 G. Piszmy, lecz bładzisz w wymowie,
 Niech głos czuć daje myśl zamkniętą w słowie.
 A wyraz: kocham, obowiązki czleka
 Ku sobie, ludziom i Stwórcy wyrzeka;
 Możnaż ozięble wymówić go kiedy?
 Ty kochasz matkę, brata, przyjaciela,
 Ja ciebie, ty mnie, dla próby więc tedy
 Całą mu wartość niech mój głos udziela,
 I ku mnie zwróci.
 A. (*patrzac na niego*). Kocham.

- G. Czucia mało. (*Ucząc ją, z uczuciem*):
Ja ciebie Kocham!
A. (*czulej*): Kocham!
G. Zbyt nieśmiało.
A. Ach, Kocham, Kocham!
G. Coraz lepiej, brawo!
Powtarzaj często, douczysz się wprawą.

SCENA VI.

- G. (*biorąc za rękę*): Nie wierz, Aniello, tej
pieszczocie wzroku,
Gdy zwolna sunąc, spocznie w twojem oku,
Tej drżącej dłoni, kiedy ciebie blizka,
Nie wierz głosowi, co się w duszę wciska,
Lecz własne serce niechaj cię oświeci;
Ach! tylko miłość równą miłość nieci!
Serce—mилczy?
A. (*spojrzawszy mu w oczy*): Nie!
G. (*pociągając w objęcia*): Aniello!
A. (*w jego objęciu*): Gustawie! (*wyrywając się z objęcia*): A tamta?
G. Tyś jest, tyś nią była zawsze!
A. Jakto? Aniela?
G. Żadnej nie mam innej!
A. Ale nie zwodzisz?
G. O, nie bądź w obawie:
Użyłem zdrady, lecz zdrady niewinnej,
Byłżebym wzniecił uczucia łaskawsze,
Gdy się przybliżyć starałem daremnie,
Gdy, uprzedzona, stroniłaś ode mnie?
A. Więc nie kochałeś? To nie jest odmiana?
I jedną jestem?
G. Jedynie kochaną!

Można i w tej komedji tak pięknej wynaleźć skazy, jak plamy na słońcu, ale te nikną wobec całości. Jedna tylko, niestety, plama jest uderzająca, a tą jest osoba Albina — zbyt sentymentalnego. Taki płaczący kochanek, któremu grozi niebezpieczeństwo, że się «w fontannę zamieni», podobać się nie może chyba żadnej kobiecie, a tembardziej Klarze. Naturalnie i ta plama okupuje się tysiącami stron dodatkich.

Drugą najwyższą cenioną komedją Fredry jest: «*Zemsta za mur graniczny*». Rzecz dzieje się zapewne w końcu XVIII wieku. Głównemi osobistościami w komedji są dwaj sąsiedzi, właściciele przyległych majątków i jednego zamku, którym dzielą się do połowy. Z tego wspólnego dziedzictwa wynikają nieustanne zatargi, spory, które doprowadziły obu sąsiadów do największej nienawiści, a stąd wytworzyła się już namiętność robienia sobie wzajemnie wszystkiego naprzekór. Do tej nienawiści są jeszcze powody w stanowisku społecznem sąsiadów i temperamentie. Cześnik Raptusiewicz to pan

z panów, rejent Milczek — szlachcic wprawdzie, ale wzbogacony przez dobrotek własny na sprawach sądowych, pewnie niezawsze czystych. Cześnika temperament burzliwy, gwałtowny; rejeta — spokojny. Cześnik — gwałtowny, lecz po ochłonięciu dobry, serdeczny, szlachetny; rejent — udaje potulnego, pobożnego, w gruncie rzeczy podstępny, chciwy, poświęcający sobie wszystkich i wszystko. Cześnik ma przy sobie synowicę Klarę, w której kocha się syn rejeta, Waclaw i ma wzajemność. Do pobrania się jednak młodej pary — przeszkadza nienawiść cześnika i rejeta.

Gdy tak młodzi się biedzą, starzy myślą tylko o dokuczaniu sobie nawzajem. Rejent obmyśla ćios dla swego wroga: nakłania narzeczoną cześnika, podstolinę, ażeby porzuciła starego konkurenta, a oddała rękę synowi jego, Waclawowi. Podstolina, która kochała się niegdyś w Waclawie, chętnie godzi się na propozycję. Rejent donosi o tem cześnikowi listownie. Następuje teraz zemsta cześnika: każe porwać Waclawa

i rozkazuje mu wziąć ślub z Klarą. Młodzi przyjmują naturalnie ten wyrok tak pożądanym.

Nie wspomnieliśmy jeszcze o paru charakterystycznych figurach, występujących w tej komedji, które, jakkolwiek drugorzędą zajmują w niej pozycję, komizmem i dosadną charakterystyką wydobywają się z pośród innych postaci i trwale pozostają w pamięci widza. Są to postacie Papkina i Dyndalskiego. O Papkinie tak pisze Chmielowski: «Papkin... jest najświetniejszą, jaką sobie pomyśleć można przeróbką postaci, stworzonej przez komedjopisarza rzymskiego, Plauta, w sztuce p. t.: «Żołnierz samochwał». Samochwalstwo Papkina i jego tchórzostwo od początku do końca komedji najkonsekwentniej zostało przeprowadzone zarówno w sytuacjach, jak w wypowiedziach przez niego tyradach.» Dyndalski znowu — to typ starego sługi, uwielbiającego swego pana, ale mającego odwagę i słowa prawdy mu powiedzieć.

Przypatrzmy się paru scenom, uwy-

datniającym to, co mówiliśmy o najważniejszych postaciach tej komedji.

W pierwszym zaraz akcie prezentuje nam się cześnik, marzący o ożenieniu się stary kawaler, który wmawia w siebie i w Dyndalskiego, że jeszcze pora hymenu nie przeminęła.

CZEŚNIK. Qua opiekun i qua krewny,
Miałbym z Klarą sukces pewny;
Ale Klara młoda, płoża,
Chociaż dzisiaj i pokocha,
Któż za jutro mi zaręczy!

DYNDALSKI. Nikt rozumny, jasnie panie;
Rzecz to ślizka!

CZEŚNIK. Tu sęk właśnie!
Na tożbym się, mocium panie,
Kawalerstwa dziś wyrzekał,
By kto... Niech go piorun trzaśnie!

Długo będzie na to czekał.
Ma dochody wprawdzie znaczne
(Klara),

Podstolina ma znaczniejsze;
Z wdówką zatem działać zaczną.
Bawi z nami w domu Klary,
Bo krewniczka jej daleka;

Ale mnie się wszystko zdaje...

DYNDALSKI. Ona czegoś więcej czeka.

CZEŚNIK (parskając śmiechem):

Ona czegoś więcej czeka...

A bodajże cię, Dyndału,

Z tym konceptem! Czegoś czeka!
Pfy! Jakżem się uśmieł szczerze!
Jeszcze młoda jest i ona,
Ależ wdowa, doświadczona,
Zna proporcję, mocium panie,
I nie każe fircykować,
Po kulikach balansować.
No, nie sekret, żem nie młody,
Alem także i nie stary,
Co?...

DYNDALSKI (wątpliwie): Tać...

CZEŚNIK (wrażony): Możeś młodszy?

DYNDALSKI. Miary

Z mego wieku...

CZEŚNIK (kończąc rozmowę):

Dam dowody.

DYNDALSKI (skrobiąc się za uszy):

Tylko że to, jasnie panie...

CZEŚNIK. He?

DYNDALSKI. W małżeńskim ciężko stanie;
Pan zaś, mówiąc między nami,
Masz podagrę...

CZEŚNIK (niekontent). Ej, czasami...

DYNDALSKI. Kurcz żołądka.

CZEŚNIK. Po przepieciu.

DYNDALSKI. Rumatyzmy jakieś łapią.

CZEŚNIK (zniecierpliwiony):

Ot, co powiesz, wszystko głupio.

Ten mankament nic nie znaczy;

Wszak i u niej, co w ukryciu,

Bóg to tylko wiedzieć raczy:

I nikt pewnie się nie spyta,

Byle tylko w dalszem życiu

Między nami była kwita.

A oto scena, w której nam się zarysują wybitnie cześnik i rejent, jako dwie sprzeczności temperamentu.

Cześnik dowiadyuje się, że rejent kazał naprawiać mur, będący granicą posiadłości zamku. Sprzeciwiając się rejentowi, poleca, aby Papkin, wzięwszy służbę, odpędził mularzy od roboty. Papkin rozkazuje rzemieślnikom odejść, a gdy ci nie słuchają, daje rozkaz służącemu spędzić ich z muru.

ŚMIGALSKI (*stępujący*): Precz! precz!

REJENT (*w oknie*): Stójcie! co to znaczy?

ŚMIGALSKI. Cześnik, pan mój, kazać raczy, aby muru nie kończono.

CZEŚNIK (*w oknie*):

Tak jest, każe, bo mam prawo.

Dalej, naprzód, dalej, zwawo!

REJENT. Jakie prawo?

CZEŚNIK. Jak kupiono mur graniczny,

Tak zostanie.

REJENT. A mur będzie naprawiony.

CZEŚNIK. Wprzódby trupem go zaściele!

REJENT (*do mularzy*):

Kończcie śmiało, przyjaciele,

Gardźcie ze mną próżnym krzykiem.

CZEŚNIK. Chcesz więc bójki?

REJENT. Mój cześniku,

Mój sąsiedzie luby, miły,

Przestań też być rozbójnikiem!

CZEŚNIK. Co? jak? bij, co siły!

(*Śmigalski ze służbą rozpoczyna bójkę z mularzami*).

REJENT (*do mularzy*):

Panie majster, ja w obronie!

Nic się nie bój, niechaj biję,

Kiedy go tam swędzą dłonie.

Dobrze, dobrze po czuprynie—

Ot tak, lepiej, co się wlezie!

Nic się nie bój—tego trzeba!

Niechaj biję—świat nie zginie!

Ja cześnika za to skryję,

Gdzie nie widać ziemi, nieba.

CZEŚNIK (*wołając za siebie*):

Hej, Serwacy! daj gwintówkę!

Niechaj strącę tę makówkę!

Prędko! (*Rejent zamyka okno.*)

Ha, ha! fugas chrustas!

No, Śmigalski, dosyć będzie!

Daj półzłotka albo złoty,

Baserunku dla hołoty,

Ale zabierz im narzędzie,

Dosyć, dosyć dla nich będzie!

(*Zamyka okno*).

Hipokryzja rejenta nigdzie lepiej się chyba nie okazuje, jak w scenie z synem Waławem, kiedy targa jego węzły serdeczne, a zmusza dla swojej zemsty nad cześnikiem ożenić się ze wstrętną dla Waławina Podstoliną.

REJENT (*do Waławina*):

Wczas przychodzisz, drogi synu,

Pomówimy słówek parę.

(Siada i daje znak synowi, aby usiadł).

Z niejednego twego czynu

Niezachwianą wzięłam wiarę,

Iż, wstępując w moje ślady,

Pobożności kroczyś drogą;

Ze złe myśli, podle rady

Nigdy zwieść cię z niej nie mogą.

Radę temu serce moje,

Quandoquidem już przy grobie,

Żyję tylko jeszcze w tobie

(ociera łzy).

Sekatury, gorzkie znoje

W nieustannej alternacie,

Składam kornie, ciebie gwoli

Przy Najwyższym Majestacie,

Bo ja tylko, moje dziecko,

Do fortunnej twojej doli

Aspiruję jeszcze w świecie.

WACŁAW. Łaski ojca dobrodzieja,

Acz nie częsty, dowód drogi.

REJENT. W tobie jedna ma nadzieja,

Lecz zazdroszczą mi jej wrogci;

Syna z ojcem chcą rozdzielić,

Chcą się smutkiem mym weselić.

Złego ducha pną mamidla,

Twej młodości stawią sidła.

WACŁAW. Nie rozumiem.

REJENT. Nie rozumiesz?

Starościanka... *(Klara)*

WACŁAW. Cna dziewica,

Tę ubóstwiać...

REJENT. Skrycie umiesz...

WACŁAW. Jeśli była tajemnica,

To dlatego, żem chciał wprzódę

Do sąsiedzkiej skłonić zgody.

REJENT. Mnie z Cześnikiem? O, mój Boże!

Któż jej więcej pragnąć może,

Niż ja, człowiek bogobojnny.

WACŁAW. Zezwól zatem, abym z Klarą...

REJENT. Być nie może żadną miarą,

Cześnik burda, ja spokojny...

WACŁAW. Lecz cóż Klara temu winna?...

REJENT. Czy tam winna, czy niewinna,

Innej waści trzeba żony,

I, serdeńko, będzie inna.

WACŁAW. Ach, mój ojcze, wyrok srogi.

REJENT. Nieodmienny, synku drogi.

WACŁAW. Moja dola, rzekłeś przecie,

Jednym celem na tym świecie.

REJENT. Bóg to widzi i ocenia.

WACŁAW. Ja ją Kocham!

REJENT *(z uśmiechem)*: To się zdaje.

WACŁAW. Nie przeryjcie rozłączenia.

REJENT. Ja się tego nie przestraszę.

WACŁAW. I przysięgam...

REJENT *(surowo)*: Zamilcz, wasze!

(słodko): Niech się dzieje wola nieba!

Lecz, serdeńko, gdyś tak stały,

Gdzież dawniejsze twe zapaly?

Milczysz... jakże? *(Ironicznie)*:

Nie do wiary,

Jak o wszystkim wie ten stary!

WACŁAW. Młodość... może...

REJENT. Podstolina

Była quondam: ta jedyna!

Ta wybrana, ta kochana!

Teraz bawi u Cześnika.

WACŁAW *(z pośpiechem)*.

Zareczona Cześnikowi.

REJENT. Póty temu nie uwierzę,
Póki sama nie odpowie.

WACŁAW. Nie odpowie? Podstolina?

REJENT. Zapytałem ją w tej mierze;
A jeżeli Bóg dozwoli,
Przyjmie rękę mego syna.

WACŁAW. Lecz nie przyjmie syn jej ręki.

REJENT. Syn posłuszny, Bogu dzięki,
Interczyę przyłączyłem,
Gdzie dokładnie wyraziłem:
Która zerwać zechce strona,
To zapłaci sto tysięcy.

WACŁAW. Moje szczęście warte więcej.

REJENT. Szczęściem będzie taka żona.

WACŁAW. Wprzód mogiła mię przykryje...

Lecz i Cześnik jeszcze żyje,
On nas spali w pierwszym pę-

REJENT *(z nęgmą)*. [dzie.
Ha! to Cześnik wisieć będzie!
Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.

WACŁAW. Ojże!

REJENT. Synu!

WACŁAW. Ostre noże

Topisz w sercu syna twego!

REJENT. Niema złego bez dobrego.

WACŁAW. Zmień twój rozkaz!

REJENT. Być nie może!

WACŁAW *(rzucając się do nóg)*.

Ach, litości!

REJENT. Tę zyskałeś,
Patrz, jak płacze...

WACŁAW. Mieć nadzieję?

REJENT. Nie, serdeńko, być nie, może...
Patrz, ja płacze... ani słowa!
Cnota, synu, jest budowa,
Jest to ziarno, które sieje...

A oto jaki jest w cześniku piękny
typ szlacheica-rycerza, gdy przegląda
karabele, wybierając się na pojedynek
z wyzwany rejentem:

CZEŚNIK. He, he, he! pani Barska!
Pod Słonimem, Podhajcami,
Berdyczowem, Łomazami
Dobrze mi się wysłużyła.
Inna też to sprawa była!
Młódz, acz dzielna, w boju
dziarska,
Prym dawała starszym w radzie.
Tak, jak w poczet Bóg nas kła-
dzie.

Ale teraz to się zdaje,
Ze od kury mędrsze jaje.
Teja głownia, mocium panie,
(Odmieniając szablę).

Lecz demeszkę przecie wole,
Ej, ta śmiga! jakby wrosła—
Niejednego ona posła
Wykrzesala z kandydata;
Niejednemu pro memoria
Gdzieś przy uchu napisała:
(machając) «Jak się wznosi, ledwie błysnie,
Oddaj się Bogu, jak świni!»

Uzbrojony cześnik wchodzi na scenę i spostrzega rejenta, który nie doczekawszy się cześnika na wyznaczonym stanowisku do pojedynku, przybywa do jego domu dowiedzieć się o przyczynie i wreszcie zapytać o syna, znajdującego się w domu cześnika. Ten, spostrzegłszy swego wroga, staje jak wryty. Rejent kłania się nisko, czas milczenia—patrzą oko w oko. Cześnik chwytą za szablę, toż samo i rejent; chwila zastanowienia — cześnik zdaje się walczyć z sobą.

CZEŚNIK *(na stronie)*.

Nie wódź mnie na pokuszenie,
Ojców moich wielki Boże!

Wszak gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może!

(Odejmuje karabelę i rzuca ją na stół).
Czego żądasz?...

Jakkolwiek Papkin jest figurą tak przesadzoną, że dzisiaj, chcąc patrzeć na tę postać, trzeba się usposobić, że taka przesada w komedji jest dozwoloną, to jednak są momenty, i to częste, że niepodobna nie podziwiać dowcipu autora i nareszcie nie dać się porwać

humorowi jego, komizmowi tej postaci.

Jedną z takich scen przytoczę. Papkin powraca z poselstwa do Rejenta i przypuszcza, że Cześnik nie żartuje, iż złośliwy Rejent kazał podać niefortunnemu posłowi zatrute wino. Wierząc, że został otruty, Papkin takie żale nad sobą wygłasza:

Tu coś boli! Oj, aj! piecze!

Ach, to wino! takie męty!

O, zbrodniarzu! o, przeklęty!

Taka piękną niszcysz różę!

(Dyndalski wchodzi).

Ach, Dyndalsiu, cny człowiecze!

Ach, powiedzcie, czy być może?

DYNDALSKI. Co czy może?

PAPKIN. Że ta żmija,

Ten w rejenta czart wcielony,

Dziś trucizną mnie zabija!

DYNDALSKI. Ej, gdzie znowu!

PAPKIN. Nie wierzycie?

DYNDALSKI. Ktoby się tam i łakomił

Na waszmości nędzną życie!

PAPKIN. Nic nie będzie zatem złego?

DYNDALSKI. Ej, nie...

PAPKIN. Cześnik mówił przecie...

DYNDALSKI. Ha, to znowu co innego,

Jaśnie panu wszystko

w świecie

Tak jest znane, jakby komu.

Mój paniczu, w własnym domu

Otrul? proszę, co za psota!...

PAPKIN. Jakaż wasza teraz rada?

Robić, począć, co wypada?

DYNDALSKI. Ha! (*zażywa tabakę z flegmą*).

Po księdza posłać trzeba...

Proszę, proszę, to niecnota!

A jak ten tchórz umie się przechwalać! Posłuchajmy, jak stanąwszy przed Klara, opiewa swoje bohaterskie czyny:

Z tego stroju i z tej broni
Marsowego znać piastuna,
Co w rycerskiej zbiegl pogoni
Od bieguna do bieguna.
Oby moja Artemiza,
Światu groźne to żelazo,
Krwia, jak gąbka, napęczniała,
Przemówiło choć tą razą
Wam na wiarę, mnie na chwałę!
Gdzie na skale gród kamienny,
Gdzie działami mur brzemienny,
Gdzie bagnatów ostre wały,
Gdzie sklepienie z dzid i szabli,
Tam był Papkin, lew zuchwały!
Strzelec boski, rębacz djabli!
Jęk, szczeł, krzyk, ryk, śmierć dokoła,
Tu bezbronny pardon woła,
Tu dziewica ręce łamie,
Matka płacze, dziecię kwili.
Ale spada moje ramię:
Ci, co żywi, już nie żyli.



Przebac zapal zgrozo-krwawy
Rycerskiego uniesienia,
Ale widzisz, dość mam sławy,
Brak mi tylko pozwolenia,
Bym w fortunnych stanął rzędzie,
Których celem Klara będzie.

Powstrzymujemy się od dalszych przytoczeń z «Zemsty», bo przynajmniej trzy czwarte sztuki cytowaćby trzeba, aby być spokojnym, że się najlepsze rzeczy przytoczyło. Komedję tę wyróżnia jeszcze Tarnowski z pośród innych tem, że ona nie maluje, nie krytykuje chwili obecnej, lecz daje obraz z przeszłości. «Wyjątkiem więc będzie ten kierunek komedji zawsze, i może powinien być wyjątkiem. Ale jeśli się wyjątek uda, gdy humoru, dowcipu i wesołości da mu autor tyle, że komedja będzie tak zabawna, zajmująca i żywa, jak żeby nam stawiała przed oczy świat nasz własny ze wszystkim, co w nim żyje, a zarazem stworzy typy, które w zakresie ogólnej ludzkiej prawdy noszą na sobie wyraźne znamiona ubiegłej i szanownej przeszłości, wtedy komedja, nie przestając być sobą, bawić i śmieszyć, nabiera jakiejś

niezwykłej powagi; wtedy na jej postacie patrzemy nie jak na dobre i zabawne typy komiczne tylko, ale prawie jak na ideały poetyczne, prawda, że kreślone wesoło i z humorem, ale i z uczuciem, z jakimś serdecznym rozrzewnieniem, z jakimś tęsknem wspomnieniem. I to jest urok, to jest poważna wartość, to jest piękność «Zemsty». *Piękność* — można powiedzieć śmiało, bo w takich rzeczach komedja, swoim sposobem robiąc to, co zazwyczaj tylko poezja zrobić jest zdolna, do niej się zbliża i ma prawo do tytułu, który dla dzieł opartych na obserwacji samej jest za wielki, a służy tym tylko, które wychodzą z wyobraźni i natchnienia.»

Do ulubionych niegdyś, a może jeszcze i dzisiaj, komedji Fredry, należy «*Pan Jowialski*». Komedja ta w budowie, intrydze — wadliwa, nosi na sobie przecież to piętno talentu Fredry, które musi na widza działać. Jak w ogóle komedji naszego autora, tak i tu poecią charakterystyka osób: Pan Jowialski i jego żona — to postacie, jakich w naszej literaturze nie było. Mimo

to, że przedstawiają charaktery ujemne, krytykowane — państwo Jowialscy są przecież tak mili, tak dobrzy, że ich się lubi i szanuje.

Podróżujący dla studjów poeta i malarz są pełni życia i humoru młodzieńcy. Szambelan, syn państwa Jowialskich, bardzo śmieszny, a jego żona, jeśli nie zabawna, to przynajmniej interesująca. Konkurent córki szambelana, Janusz, w kłopotach przez sytuację, którą sam wytworzył, bardzo jest komiczny. Jedną tylko Helena, cel zabiegów Janusza, która miała być zabawną wskutek swojej egzaltacji i górnolotnych wyrażeń, jest niekiedy aż męczącą. Oto treść komedji:

Dwaj artyści podróżujący zaszli do ogrodu w majątku państwa Jowialskich. Malarz poszedł na wieś, a poeta położył się i zdrzemnął. Do ogrodu przychodzą mieszkańcy dworu wraz z gościem swoim, Januszem, który, spostrzegłszy śpiącego, a licho ubranego, posądza go, że jest pijany, gdyż obok niego widzi porzuconą butelkę, postanawia więc wziąć go za przedmiot

nowej zabawy. Bo wszyscy ci państwo, prócz szambelanowej i jej pasierbicy, Heleny, za główny i jedyny cel życia mają—bawić się; chodzi tylko o nowy pomysł do zabawy. Doradza więc Janusz przebrać pijanego za sułtana, udawać dwór turecki i tym sposobem wyprawić krotoczwilę. Pomysł przyjęto z wielkiem zadowoleniem. Poeta to słyszy, a cheiwy poznać to oryginalne towarzystwo, tak nadające się do powieści, komedji, czy satyry, postanawia przyjąć wyznaczoną mu rolę i udawać pijanego i śpiącego. Rzecz wybornie się udaje. Wreszcie przebrany poeta niby się budzi i dobrze gra swoją rolę; wskutek tego poznaje piękną Helenę. Przed nią jedynie demaskuje się i tem zwraca jej uwagę na siebie; wkrótce zdobywa jej serce. Wykwitował się więc Janusz, konkurent Heleny, i jeszcze słuchać musi zewsząd szyderstwa: «Wszak sam tego chciałeś».

Jakkolwiek zdarzenia tu są blahe i często zbyt wyszukane, każda scena wesoła budzi śmiech, więc bawić się

może każdy, dopóki nie zacznie rozmyślać, że bawi się bolesnym objawem w społeczeństwie — lekkomyślnością, a raczej bezmyślnością tych, którzy powinni świecić przykładem. W żadnej może komedji nie miał autor większej trudności, jak w tej — pod tym względem mianowicie, żeby nie przekroczyć granicy i nie zrobić wstrętne mi tych osób, które w gruncie rzeczy do karykatury się zbliżają. Wielki talent przecież pokonał tę trudność, owszem, niektóre figury są nietylko zabawne, ale bardzo sympatyczne. Takimi są: pan Jowialski, ze swojemi przysłowiami, bajeczkami i dykteryjkami i uwielbiająca go pani Jowialska. Oto, jak nam się prezentują w scenie VII aktu I.

(Pan Jowialski siwy staruszek, ale rumiany i żwawy, równie jak i pani Jowialska, która bardzo wyprostowana drepcze, chodząc. Oboje ze staroświecka trochę ubrani, zwłaszcza pani Jowialska.)

PAN J. (*we drzwiach do żony*). Co się odwlecze, to nie uciecze.

PANI J. U jegomości zawsze jeszcze figle w głowie.

PAN J. O, nie uciecze, ręczę jejmości. I stary odmłodnieje, jak sobie podleje.

PANI J. Co też to jegomość wygaduje! mój miły Boże! gdzie też to myśleć o tem?

PAN J. W starym piecu djabeł pali — jak mówi przysłowie...

PANI J. *(siadając)*. O, figle, figle!... *(dobrywa z torebki półeczki, wkłada okulary i zaczyna robotę. Zawsze bardzo wyprostowana)*.

(Wchodzi szambelan i Helena).

PAN J. Dzień dobry, panie Janie, jak się masz, Helusiu? Co tam słyhać?

HELENA. Nic, kochany dziaduniu.

PAN J. Nic? to zbyt niema?

SZAMBELAN. Radziliśmy trochę.

PAN J. Gdy szukasz rady, strzeż się zdrady.

HELENA. Między mną a ojcem tego lękać się nie można.

PAN J. Zapewne, zapewne, ale przez to przysłowie dobre.

SZAMBELAN. O tem, czy ma iść za Janusza, czy nie iść?

PAN J. Na czemże stanęło? Koniec dzieło chwali.

SZAMBELAN. Jeszcze na niczem podobno. Wszak prawda?

HELENA. Na niczem.

SZAMBELAN. Nie dość jeszcze zna, jak powiada, swego czciociela.

P. J. Zjesz beczkę soli, nim poznasz do woli.

HELENA. Właśnie dlatego waham się jeszcze i prosiłam o trzy dni dla namyślenia się; a jeżeli dziadunio dobrodziej będzie łaskaw, to mi jeszcze na tydzień zezwoli.

PAN J. Ja nie mam nic przeciwko temu, ale nadto długo nie przewlekaj, moja panno, bo to: czas płaci, czas traci.

HELENA. Wiem ja to dobrze.

PAN J. A jeżeli się oglądasz na to, że jaki może pierwszy lepszy trafi się zalotnik — rzecz niepewna. Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na powietrzu.

HELENA. Ja też zupełnie pana Janusza nie odprawiam, o zwłokę tylko proszę.

PAN J. Jak czasem wybieranie na złe wychodzi, nauczy mała bajeczka o osielku, znacie ją?

WSZYSTYCY. Znamy.

PAN J. Więc słuchajcie:

Osielkowi w żłobie dano

W jeden owies, w drugi siano.

Uchem strzyże, głową kręci,

I to pachnie, i to ńci;

Od któregoż teraz zacznie,

Aby sobie podjeść smacznie?

Trudny wybór, trudna zgoda:

Chwyć siano, owsa szkoda,

Chwyci owies, żal mu siana,

I tak stoi aż do rana.

A od rana do wieczera;

Aż nareszcie przyszła pora,

Że ośliła pośród jądła

Z głodu padła.

(Pani Jowialska, zdjawszy okulary, słuchała z wielką uwagą, jak to robi za każdą bajką, i śmieje się zawsze mocno, ale cicho.

PANI J. Bodaj jegomości! co też to zawsze uśmieć się trzeba! O dla Boga! *(kładąc okulary).* Figle! figle!

HELENA. Jednak, kochany dziaduniu dobrodzieju, lepiej nie mieć męża, niż mieć niedobrego.

PAN J. To nie dowiedzione. Lepszy rydz, niż nic.

HELENA. Nie chciałabym matki obrażać, a i o moją spokojność, o moje szczęście idzie mi także niemało.

PAN J. Miedzy młotem a kowadłem.

HELENA. Może też i matka..

PAN J. *(kończąc sens).* Nie będzie tak uparta. O, tak! Im kot starszy, tem ma ogon twardszy...

W «*Dożywociu*» (komedji wierszem w 3-ch aktach) daje nam autor znakomity typ człowieka chciwego, lichwiarza. Cała sprawa obraca się koło tego, że lichwiarz, Łatka, kłopotuje się, jak zabezpieczyć życie tego, którego dożywocie kupił i w oznaczonym czasie pobiera za niego należność, wypłacaną mu w banku. A niemało ma zmarwienia, bo Leon Birbancki, pierwotny właściciel dożywocia, weale zdrowia,

nawet życia nie oszczędza. Pije, gra w karty po nocach, co bardzo jego zdrowiu szkodzi, stąd kaszel, a z kaszlu mogą być suchoty. Birbancki nie zna osobiście Łatki, doznając zaś ciągłej nad sobą opieki od kogoś, który w razie choroby doktora mu przysyła, a parasol i palto podczas deszczu i chłodu, sądzi, że jakaś sylfida czuwa nad nim. Ot i teraz po spędzonej nocy na hulance, gdy czuje się bardzo zmęczony, gdy głowa cięży, a ból w pierśsiach i kaszel dokucza, otrzymuje list z przestroga:

Szanuj zdrowie należycie,
Bo jak umrzesz straciśz życie.

Niedługo wchodzi doktor, przysłany przez kogoś, którego jednak nazwiska nie wolno mu zdradzić.

Łatka w ciągłej obawie o życie swego klienta, pragnie sprzedać komu owo dożywocie, choćby z pewną stratą. I oto scena, w której tę sprawę chce załatwić. Znalazł podobnego sobie lichwiarza, niejakiego Twardosza, umówił się już z nim poprzednio, lecz teraz dowiaduje się, że Twardosz się co-

fa, bo doszło do niego, że Birbancki nie jest zdrowy. Przerażony odmowa Łatka, przemawia do Twardosza:

A bodaj ci, drogi Janie,
Nóżka spuchła! Nie jest zdrowy?
To Herkules, jak rydz, panie,
Matuzalem będzie nowy.
Co to, panie, za budowa!
Co za piersi! co za głowa!
Co za kości, jak olbrzyma!
Drugich takich w świecie niema!...
Ale wiesz co? powiem słowo,
Słowo, słówko, a nie więcej.
Dasz zarobku—sto tysięcy.

(Twardosz kiwa głową przecząco).

Dziewięćdziesiąt *(Twardosz przeczy).*
Dasz ośmdziesiąt.

(Twardosz przeczy).

LATKA. Jasiu, duszko, duszko droga,
Co ty myślisz, bój się Boga!
Ty chcesz mojej wiecznej zguby,
Ty mnie w krwawe bierzesz szruby!
Człeku, człeku, miejże przecie
Litość w sercu, miej sumienie —
Łatwy handel na tym świecie,
Lecz pamiętaj na zbawienie!
Daj siedmdziesiąt!

(Twardosz przeczy). W tym sposobie
Chcesz mię zarznąć, zarznąć srodze.
To weź lepiej brzytwę sobie

(Nadstawia gardło).

Rznij, rznij, no, rznij, jak ciele,

Tu, na gładkiej rznij mię drodze,
Kiedy stracić mam tak wiele;
Albo wytnij w łeb maczugą,
Niech nie męcę się tak długo.

Długo jeszcze, równie gorąco zaklina Twardosza i możeby rzecz doprowadził do jakiegoś skutku, gdyby nie to, że wchodzi łokaj z lekarstwami dla Birbanckiego, co, naturalnie, utwierdza Twardosza, że klient zdrowym nie jest i od układu się wstrzymuje. Gorsze tarapaty czekają Łatkę, bo Birbancki chce się puścić balonem. Łatka zapobiega temu w ten sposób, że zamyka go w pokoju swojej własnej narzeczonej. Okoliczność ta ocala na chwilę klienta, ale pozbawia lichwiarza narzeczonej. Okazało się bowiem, że to dawna znajoma Birbanckiego, a obecnie ofiara, poświęcająca się dla zrujnowanej przez lichwę rodziny. Budzi to współczucie w Birbanckim—i postanawia ożenić się z nią, byle ją wyrwać z rąk Łatki. Łatka nie wie jeszcze o zamiarach klienta i broni go od nowego nieszczęścia. Oto przychodzą dwaj towarzysze gry i zabaw Birbanckiego,

obrażeni na niego, aby go wyzwąć na pojedynek. Birbancki może zginać. Łatka nie wie na razie, jak go zasłonić, ale pada na myśl skruszenia serc wyzywających i przemawia:

Lecz, panowie, żart na stronę,
Pomiarkujcie, ludzkie życie
To nie kulfon. Raz stłuczone,
Już go nigdy nie skleicie.
Aj, aj, zgroza myśleć o tem,
Krew wypłynie, wróg nasz zginie,
Ale potem, ale potem...
Wszakże Ludmir, znany wszędzie,
Wyzwał, zabił przyjaciela,
Od dnia tego ni wesela,
Ni pokoju, ni snu w nocy;
A gdy zaśnie już z niemocy,
Zaraz jakieś trupy krwawe
Zaczynają z nim zabawę,
To go duszą, to laskoczą,
To mu w gardle kości tłoczą.

Działa tem na wyobraźnię otaczających i dalej rozczuła:

Cheecie, padnę na kolana
I uściskam wasze nogi!

(Kłękając).

Otóż padłem—ot mnie macie,
Rzućcie, rzućcie zamysł srogi:
Bo krew straszna, krew wylana.

Na zapytanie, dlaczego tak troszczy

się o życie Birbanckiego, lichwiarz mówi dalej:

Ach, mój królu, moje złoto,
Ja Leonka wychowałem,
Wypieściłem, wylulałem,
Ja go kocham jakby syna,
On pociecha ma jedyna,
On jest wszystkim, co mam w świecie.

Rozczuleni taką wielką przyjaźnią, odchodzą wzruszeni szlachetnością i poświęceniem Łatki.

I jakże się sprawa kończy? Oto Leon Birbancki, poznawszy się wreszcie ze swoim nieproszonym opiekunem, Łatką, oznajmia mu, że się zastrzeli. Rozpacz ogarnia Łatkę i zgadza się, że połowę dożywocia odstąpi Birbanckiemu, byle nie chciał sobie życia odbierać. Rzecz więc kończy się tem, że Birbancki ocala połowę dochodów, ma więc środki do życia, a że obiecuje się poprawić, więc otrzymuje zezwolenie ojca panny i żeni się z narzeczoną Łatki, który woli połowę dożywocia, niż narzeczoną.

Jak w wielu innych komedjach, tak i tu intryga nie odznacza się ani kon-

sekwencją, ani nawet prawdopodobieństwem w wielu razach: wielka wartość utworu polega na malowaniu postaci. Łatka jest taką doskonałą postacią, nieprześcigniętą, że może iść tylko w porównanie z podobnemi u Moliera i Plauta. Szczęśliwie narysowane mamy tu i inne osoby, jak: Twardosza, dwóch braci, towarzyszków hulankę Birbanckiego, a nawet samego Birbanckiego.

Bardzo zabawną jest komedia «*Damy i huzary*». Autor nie zakładał sobie zapewne dać przez nią widzom żadnej poważniejszej nauki. Chodziło mu tu więcej o zabawę; ale jakąż miłą dał nam przez to rozrywkę!

Był też tu Fredro w swoim żywiole, bo malował wojskowych, a więc tych, śród których przebył najszcześniejsze chwile, bo młodości, nadziei.

Major huzarów, 56-letni kawaler, przebywa na urlopie na wsi u siebie. Zaprosił w gościnę kolegów, będących także na urlopie: starego, jak on, rotmistrza, młodego porucznika, którego kocha, jak syna, i kapelana pułkowego.

Polują, grają w szachy, palą lulki — i byłiby zupełnie szczęśliwi, gdyby im pokoju nie mąciła stara klucznica, jedyna kobieta w tym domu: nieznośna, ciągle gdera.

MAJOR (*do Grzegorza, starego huzara*).
A klucznica?

GRZEGORZ. Klusem wywieziona.

KAPELAN. Bogu dzięki!

MAJOR. Ostatnia więc białogłowa usunięta z naszego domu; będzie raz przeciw cicho i spokojnie.

Kiedy tak się cieszą, wpada Grzegorz i anonsuje, że przyjechały powozy pełne kobiet. Zdziwienie niesłychane. Wyglądają oknem: damy wychodzą z powozów. «Siedm!» — woła przerażony kapelan. «Cóż to za baby, co za gmachy, co za graty?» — pyta rotmistrz. «To moje siostry» — objaśnia major. Rotmistrz go przeprasza, ale ten odpowiada: «Nie masz za co, znam ja je dobrze». Z tem wszystkim to damy, a są między niemi i młode — trzeba je grzecznie przyjąć, ugościć. Wtem wszczynają się zgiełk nie do opisania. Panie wchodzą z pokojówkami, niosą-

cemi pakunki, pudełka, klatki z ptakami i kładą to na stole, gdzie stoją szachy i leżą mapy i fajki. Nic nie szanują. Krzyk się rozlega — to najstarsza pani Orgonowa broni swojego kotka, na którego psy gończe napadły. Narzeczcie uspokajają się nieco — następuje chwila prezentacji. Poznajemy w nowoprzybyłych: siostry majora — panią Orgonową, Dyndalską, dwie wdowy i trzecią starą pannę, Anielę. Czwartą damą jest ośmnastoletnia, ładna Zofia, córka pani Orgonowej. Pani Orgonowa czasu nie traci, oznajmia, że chce pomówić z majorem; na żądanie pani Orgonowej odchodzą mężczyźni, odchodzi i Zofia. Panie biorą w obroty majora, przedstawiają, że przyjechały go zreflektować, wykazać bezcelowość dotychczasowego jego życia, pragną go więc nawrócić, uszczęśliwić. Ale że jedna chce mówić, przed drugą, major nie zrozumieć nie może. Wreszcie posprzeczały się panie między sobą i rozeszły każda do swego pokoju.

Wchodzą koledzy majora i chociaż

są mocno zafrasowani (prócz porucznika) wypadkami chwili, radzą jednak, jak damy ugościć, a przecież godnie przyjąć, zabawić. Przedewszystkiem pomyśleć trzeba o obiedzie. Ale cóż? Klucznica wywieziona. Major temu zaradzi: «Grzesiu, niech Kutasiński na łysego wsiędzie i dalej w pogoń za klucznicą; a jak ją dojdzie, niech baba nie trzepie, nie rozprawia i czempredziej na łysego wsiada.» Oponuje temu kapelan: «Nie uchodzi, nie uchodzi.» Ale porucznik popiera rozkaz majora: «I niech tę gim klusem wraca». Jedno już więc jest, ale dalej: dla dam trzeba przysmaczków, rozrywki. I to będzie: «Grześ niech zrobi ciasta» — komenduje Major. Suplikuje się Grzegorz, że nie umie takich rzeczy. Major: «Zrobisz, ja każę i basta». A rozrywki? Oto podczas obiadu Grześ i Rembo na trąbach zagrają walca, a niechaj moździerzy ustawią pod oknem i «gdy krzyknę (mówi uradowany z pomysłu Major): wiwat damy! — rym z moździerza!» Nie pomagają kapelana: «Nie uchodzi, na honor, nie uchodzi!», ani

porucznika refleksje: «To nie z żołnierzami sprawa». Major dał rozkaz, wszystko musi być wykonane.

Rozkoszna więc uczta przygotowana, ale czeka majora daleko gorsza przeprawa. Oto pani Orgonowa oznajmiła mu, że przyjechała ożenić go — i to z kim? Z ośmnastoletnią córką swoją, piękną Zofją. Naturalnie, major się oburza, powtarza to zdziwionym kolegom, dzielącym jego zapatrywania. Wojacy się rozechodzą, a na scenie widzimy spotkanie Zofji z porucznikiem. Oni się dawno znają i szukają. Raz się w życiu tylko widzieli, gdy dzielny porucznik ocalał życie Zofji i jej ojcu; wśród wrzawy wojennej Zofja nawet o nazwisku obrońcy dowiedzieć się nie mogła, ale zawsze o nim marzyła. On widział ją raz, ale pozostała mu w sercu na zawsze. Teraz się spotkali, ale spotkali się wtedy, kiedy ręka Zofji przeznaczoną była komu innemu. Nie tracą jednak nadziei: major nie złamie przecież swego postanowienia. Aby jednak sprawę zręcznie przeprowadzić, uchwa-

lają, że Zofja starać się będzie ująć sobie majora, aby matka, poznawszy sprawę, nie zmusiła Zofji w razie zerwania z majorem do oddania ręki dawniejszemu, a wstrętnemu dla niej konkurentowi. Nieszczere to postępowanie z majorem było powodem do późniejszych zawikłań. Ale idźmy za wypadkami kolejno. Oto akt drugi przedstawia nam burzę, jaka zawrzała w domu gościnnego majora.

Odbywała się uczta. Jak panie przyjeły muzykę Grzesia i Remby — niewiadomo, ale wystrzał niespodziewany z moździerza wywołał okropne następstwa: wszystkie trzy starsze panie padły ofiarą. To też widzimy, jak major prowadzi przez scenę jedną damę na pół żywą, rotmistrz drugą, porucznik trzecią. «Wody! wody!» — krzyczą pokojówki. Grześ biega z konewką ogrodową ode drzwi do drzwi. Major rozpacza. Ale wszystko na świecie przemija. Damy uspokoiły się. Major odechnął nieco i postanawia nadal słuchać rad kapelana, a ulegać wszystkim żądaniom niewieścim. To też gdy

Fruzia, pokojówka, oznajmia: «Moja pani prosi pana, abyś pan kazał, żeby konie w stajni nie hałasowały, bo bardzo kichają i tupają, a to szkodzi nerwom pani», major każe Grzesiowi wyprowadzić konie ze stajni, «niech koczują». Druga pokojówka żąda w imieniu drugiej pani, aby wszystka broń z domu była wyniesiona, bo to sprowadza kolki. Trzecia żąda, aby pod oknami zakadzić, bo zapach prochu dreszcze zwiększa. Major robi, co można, ale wreszcie na myśl, że się podobne sceny będą powtarzały, a jeszcze gorsze mogą nastąpić, wpada w rozpacz i postanawia ucieczką się ratować. Rotmistrz i kapelan nie chcą też sami w domu pozostać, zabierają się więc wszyscy do ucieczki. Porucznik zdradza jednak ich plany, budzi czujność pań: te zmieniają nieco politykę i wystraszonych w porę zatrzymują. Co panie postanowiły? Przedewszystkiem oczernić kapelana przed kolegami, że ich przed nimi obmawia i tym sposobem uchylić jego wpływy; pan-na Aniela bierze rotmistrza na siebie,

ręczy, że sobie poradzi, a jak mówi Orgonowa, «albo go podbije, albo wystraszy». Majora rozczulać trzeba, nie dać mu momentu spokoju, a gdy się zmęczy, na wszystko przystanie. Atak rozpoczyna się przez nasłanie Zofji na majora w celu zdobycia jego serca. Major z początku trzyma się dzielnie; perswaduje Zosi, że go chcieć nie może, bo przecież on dla niej za stary, ale ta nie widzi słuszności w perswazjach wuja. Nareszcie major zdobywa się na obszerniejsze argumenty i powiada: «Nigdy nie zgłębiłem, co stanowi istotne szczęście w małżeństwie, mniemam jednak, że dwie osoby dobierać się powinny, jak para koni; równy chód, równy zwrot, równy ogień, wtedy dobrze się jedzie, a mniej się morduje. Ale kiedy jeden bystry, a drugi leniwy, ten miękki, tamten twardousty, ten ciągnie, tamten skacze, to djabła warte! Prawda, panienko? Powiedzże mi teraz waćpanna, jakbyśmy się pobrali, do której pary będziemy podobni, do pierwszej, czy do drugiej? Podobność do drugiej: waćpanna

byś biegła, ja się już potykam; waćpanna byś skakała, ja już pokaszluję. Śmieć się, śmieć, lepiej śmiać się, niż głupstwo zrobić.» Ale i te argumenty nie działają na Zosię. Utrzymuje ona, że uczciwość, łagodność, stałość charakteru — oto są przymioty, które zapewniają szczęście. «Mężkami tylko cnotami mężczyźni mogą zyskać nasze serca. Dobra sława męża (powiada) jest także sławą żony, a jednostajna spokojność jest podług mnie istotnem szczęściem.»

Major uznaje wielki rozsądek w Zofji, a rozmarzony jej wdziękami, bierze jej rączkę, obejmuje ją tak, że Zosia musi się wyrwać i uciekać. Zostawszy sam na placu boju, monologuje: «Odmłodniałem, odmłodniałem... dalibóg, czuję, że odmłodniałem, i niedziw; luba dziewczyna, ładna dziewczyna, rozsądna, gwałtem chce iść za mnie!... Gdybym się ożenił?... Niech się dzieje, co chce... ale ja... tylko... że to... no znowu z drugiej strony... ale jednak... nareszcie w przypadku... a, djabła tam! źle! Co tu robić?»

Major więc pobity. Kolej na Rotmistrza. Atak przypuszcza panna Aniela:

ANIELA. Dobrze, że tu zastaję waćpana. Jakże też możesz być tak spokojnym, będąc przyjacielem majora? Jak możesz zezwolić na jego ożenienie?

ROTMISTRZ *(po krótkiem milczeniu)*. Nie zezwalam.

ANIELA. Ale nie starasz się odwieść go od tego zamiaru.

ROTMISTRZ. Zabronić nie mogę.

ANIELA. Potrzeba jemu odmiany losu? niech mi kto powie.

ROTMISTRZ. Zapewne, że nie.

ANIELA. Cóż przyjemniejszego nad stan wojskowy?

ROTMISTRZ. Zapewne.

ANIELA. Podległy swemu obowiąz-kowi.

ROTMISTRZ. Zasługa jawna, to za mną mówi, nie potrzebuję łaski niczyjej.

ANIELA. Nigdy sam, nigdy opuszczony.

ROTMISTRZ. Zawsze w towarzystwie.

ANIELA. ...Przyjaciół doświadczonych. Bo gdziez lepiej poznać człowieka, jak w trudach, w biedzie, w niebezpieczeństwie?

ROTMISTRZ. To prawda.

ANIELA. Tam nie popłacają wykształcone słówka.

ROTMISTRZ. Ho, ho!

ANIELA. Tam działać potrzeba.

ROTMISTRZ. Jak na męża przystoi.

ANIELA. I na dobrego żołnierza; źle albo dobrze, ale otwarcie.

ROTMISTRZ. Prosta droga i śmiało.

ANIELA. Nigdy się nie bać.

ROTMISTRZ. I samego diabła!

ANIELA. Ach! (*Pomiarkowawszy się*). O, tak, tak... szczęśliwy, szczęśliwy, kto ten stan obrał. Ach, gdybym nie była kobieta, byłabym żołnierzem całe moje życie.

ROTMISTRZ. Proszę. (*na stronie*). Do rzeczy kobieta!

ANIELA. Raz nawet myśl mi przychodziła, ale to dawniej, ukryć pleć moją, przywdziać mundur i stanąć w szeregu huzarów.

ROTMISTRZ. W szeregu huzarów i ukryć... (*Na stronie*). Rzadka kobieta!

ANIELA. Ale tylko w kawalerji chciałabym służyć.

ROTMISTRZ. W kawalerji?

ANIELA. Tak konie lubię.

ROTMISTRZ. Konie pani lubisz. To rozumu dowodzi.

ANIELA. Sama nawet konno jeździę.

ROTMISTRZ. Konno jeździsz? (*Na stronie*). Co to za kobieta!

ANIELA. Co to za uciecha dobrego dośiaść rumaka, a jeszcze młodego, trochę dzikiego!

ROTMISTRZ (*z wzrastającym zapalem*). Uczyć go prawie chodzić..

ANIELA. Powoli.

ROTMISTRZ. Cierpliwie, jak z dzieckiem.

ANIELA. Potem żwawiej.

ROTMISTRZ. A ostrożnie.

ANIELA. Kłusować.

ROTMISTRZ. Niech się wyciąga.

ANIELA. Galopować.

ROTMISTRZ. Wkoło, w prawo, w lewo.

ANIELA. Spiać ostrogę.

ROTMISTRZ. A to na co?

ANIELA. Czasem, czasem.

ROTMISTRZ. Ale na co?

ANIELA. Tak, ale...

ROTMISTRZ. Chyba, że uparty, i to...

ANIELA. Tak, tak, kiedy uparty, i to...

ROTMISTRZ. Ostrożnie.

ANIELA. O, ostrożnie.

ROTMISTRZ. Bo można znarawić.

ANIELA. O, można znarawić. Cały dzień siedziałabym w stajni: tego, to tamtego, to znowu tego kazałabym przejeżdżać lub sama przejeżdżała. Co to za rozkosz!

ROTMISTRZ (*na stronie*). Na honor, rzadka kobieta!

ANIELA. A potem w wieczór fajeczkę zapalić!

ROTMISTRZ. Ten smak damom trudno pojać.

ANIELA. Jakto, alboż jedna? ja pierwsza tytuń lubię!

ROTMISTRZ. Lubisz pani?

ANIELA. Sama pale.

ROTMISTRZ. Sama tytuń pali! (*Na stronie*). Co to za kobieta, co to za kobieta!

ANIELA. Tak mam odrębne gusta od całej plci mojej, żem dotąd za mąż pójść nie chciała. Ci miejscy panowie pragną, aby żona tylko się stroiła, bawiła, kręciła, trzpiotała, nie mogąc pojąć kobiety, coby lubiła życie obozowe.

ROTMISTRZ. Głupie głowy.

ANIELA. Marsze, koczowania, ruch, prace...

ROTMISTRZ. Lecz czemuż pani wojkowego rączką swoją nie zaszczycała?

ANIELA. Sama płocha młodzież trafiała mi się tylko.

ROTMISTRZ. Sama płocha młodzież.

ANIELA. Nikt w wieku rozsądnym.

ROTMISTRZ. Nikt w wieku rozsądnym.

ANIELA. Coby ocenił mój sposób myślenia.

ROTMISTRZ. Być nie może?

ANIELA (*dotykając jego ręki*). Serca żołnierzy z kamieni!

ROTMISTRZ (*całując w rękę*). Nie zawsze.

ANIELA. Niewzruszone, twarde.

ROTMISTRZ. I lód twardy, a przecież topi się od słońca (*całując w rękę*).

ANIELA (*niby wyrrywając rękę*). Fi, rotmistrzu...

ROTMISTRZ. Nic złego.

ANIELA. Ach, jak mi gorąco!

ROTMISTRZ (*do siebie*). Co to za kobieta!...

ANIELA. Chodźmy do ogrodu, tam chłodniej.

ROTMISTRZ. Może do stajni?

ANIELA. O, potem, później.

ROTMISTRZ. Może fajeczkę?

ANIELA. Później, później.

ROTMISTRZ. Ide, gdzie każesz. (*Do siebie*). Co to za kobieta! Co to za kobieta!

Ale i stary Grześ wzięty w opał: wszystkie trzy pokojówki atakują go, Panna go stanowczo podbiła.

Następuje smutne spotkanie Zofji z porucznikiem — i pożegnanie. Nie przewidywał młodzieniec, że serce starego majora stopnieje. Honorowy a przywiązany do majora, po synowsku poświęca dla niego miłość swoją i Zofji; w ręce Zofji składa szczęście majora i ma ją na zawsze opuścić. Żegna się, całuje rękę Zofji. «Raz ostatni». Zosią skłania się w jego objęcia, wołając: «Raz ostatni». Wypadkiem finał tej sceny widzi panna Aniela i podniósłszy ręce do góry, wybiega ze sceny.

Teraz robi się chaos. Dowiadują się wszystkie panie o miłości Zofji i porucznika. Wyjawiają tę straszną wieść majorowi, dodając, że porucznik miał zamiar wykraść Zofję. Major ostupał,

zdumiał. Więc porucznik, którego kochał jak syna, zdradził go. Czemuż nie wyznał po żołniersku, co czuł; lecz podstępem...

Śród tych wypadków Grzegorz i Rembo wpadają z szablami, miny mają wyzywające.

MAJOR. A to co, Rembo, gadaj zaraz, co to znaczy?

REMBO. Kiedy pan major każe, to powiem, jak się ma rzecz cała. Oto Grzegorz, taki, jak go tu widzimy, zakochał się w Fruzi... w takim wieku... to, proszę pana majora, trzeba być głupim.

MAJOR. No, no, cóż dalej?

REMBO. I chce się z nią żenić. Na starość żenić się...

MAJOR. No, no, cóż dalej?

REMBO. Chciałem mu wystawić, jakiego kłopotu nabędzie, chciałem mu powiedzieć, aby sobie przypomniał, że ile razy mąż stary, żona młoda, albo stara żona a mąż młody, tyle razy niezgodne małżeństwo. Bo, proszę pana majora, co młode, to młode; co stare, to stare, ogień pali, woda gasi. Chciałem mu powiedzieć, że jemu tak będzie, jak wszystkim w takim razie; bo on, proszę pana majora, myśli, że dla niego inna kobieta urodziła się na żonę i że on inaczej stary jak wszyscy, co już długo żyją. Otóż zacząłem mu

o tem mówić, on mię nie chciał słuchać, przymówiliśmy sobie i stąd przyszło do kłótni.

GRZEGORZ. Nie mogłem ścierpieć, jak mi powiedział, że mnie koledzy palcem wytykać będą, jak moja żona, to jest... jak...

ROTMISTRZ. Rozumiem.

GRZEGORZ. A ja wiem, że w równym wieku z panem majorem i kiedy...

MAJOR. Ciszej, zgoda!

ROTMISTRZ (*do Remby*). Dlaczegoż gwałtem mu radzisz, kiedy on nie chce twojej rady?

REMBO. Bo mi go żal, panie rotmistrzu, na honor, żal mi go. I wiem, że sam będzie żałował, wkrótce będzie żałował; bo kto miał rozum do tego wieku, na długo stracić go nie może. Dotychczas był dobry żołnierz, porządny człowiek, każdy go lubił, szanował, a teraz takie głupstwo chce zrobić, taką śmieszność na swoją głowę ściągnąć. Mnie to przykro, raz, że mój przyjaciel, a powtóre, co mam stać w szeregu obok jelenia!

MAJOR. Ciszej, zgoda.

REMBO. Niech mu pan major także powie z łaski swojej, że kto z młodu się nie ożenił, niech się na starość nie żeni, a jeśli się żeni—to głupi.

MAJOR. Precz, dość tego, zgoda, marsz!

Po takiej perorze, wysłuchanej wypadkowo, major i rotmistrz rozmyślają.

Smutne rozczarowanie: Rembo nie chce stać w szeregu obok jelenia, ale jeleni na froncie... Następuje skrucha i poprawa. Wtęm wchodzi kapelan. Major żali się przed nim na zdradę porucznika i dowiaduje się o szlachetnem jego poświęceniu uczuć dla Zofji jedynie przez przyjaźń dla majora. Rzecz się wyjaśnia. Porucznik wraca, szczęśliwa para połączona, a major do dam powiada: «Niech wam będzie dość, moje damy, żeście huzarów zwyciężyły, że musieli kapitulować i jednego oddać... i to przyznajcie... najlepszego».

Nie mniej zabawna, choć mniej prawdopodobna, jest komedyjka w jednym akcie: «*Nikt mię nie zna*». Pewien kupiec, Marek Zięba nie ma granic w podejrzliwości: nikomu nie wierzy, unieszczęśliwia też tem i żonę, bo i jej ufać nie może. Brat żony, Czesław dowiaduje się o tej wadzie szwagra (a oświadczenie się nie znają) i postanawia go wyleczyć. Marek działa podstępem, szpieguje, on także działać będzie podstępem. Dowiedział się, że Marek, wracając z dalekiej podróży, umówił

się z jakimś Janem Remboszem, wojskowym, iż zamienią paszporty i jeden będzie udawał drugiego, że w przebraniu ma wejść do domu i niepoznany, wybada wszystkie sprawy domowe. Czesław więc umawia się z Klarą, żoną Marka i całym otoczeniem, że on będzie uważany za męża Klary i pana domu, skoro Marek przebrany przybędzie; udręczy się przez to Marek i da mu nauczkę, że podejrzliwość względem uczciwych ukaraną być powinna. Niebawem wchodzi Marek w przebraniu za wojskowego, z nim jego wierny sługa, Kacper, także przebrany, i za przykładem swego pana pragnący zbać, czy i jego żona dochowała mu wierności. Marek kontent ze swego pomysłu; udało mu się znaleźć środek, przez który «nikt go nie zna w mieście, nikt go nie zna w domu». On sam się nie zdradzi, ale boi się o Kacpra, aby się nie wygadał, bo, jakkolwiek jest najzupełniej wierny, ale i zanadto głupi, aby można być spokojnym o jego postępowanie. I oto dowód bystrości Kacpra. Dopiero Marek go wyuczył, że on

przybrał nazwisko Rembosza, rotmistrza, a już Kacper o tem zapomniał, jak dowodzi ta scena.

MAREK. Kto jestem?

KACPER. Marek Zięba.

MAREK. Kto, gawronie?

KACPER. Nie... Rembosz... Marek Rembosz.

MAREK (*biorąc go za ucho*). Marek?

KACPER. Jan, Jan, panie.

MAREK. Proszę cię więc, pamiętaj.

KACPER (*macając się za ucho*).

Już, już tak się stanie,

Jak pańska prośba każe.

MAREK. Żeby cię kto dreczył
Prośbą, groźbą, kulakiem, żeby
i zameczył,

Żebym ja sam rozkazał, chciał
nawet przymusić,

Nie powiesz, kto ja jestem?

KACPER. Wolę się zakrzuszyć.

Wolę się...

MAREK. Koniec końców, nie gadając
wiele,

Jak powiesz, żem ja jest ja, to
ja ci w łeb strzelę.

Wszystko idzie dobrze, nikt Marka nie poznaje, nawet własna żona, gdy wtem Marek dowiaduje się, że ktoś w domu zajął stanowisko jego, że przy-

jął jego imię, Marka Zięby, że żona uznaje go za męża, a służba za pana. Rozpacz go ogarnia. Na dobitek jakiś lichwiarz, dowiedziawszy się, że rotmistrz Rembosz przyjechał do miasta, przychodzi z wekslem i naciera na Marka, aby długi Rembosza płacił.

Nie lepszy los spotyka i Kacpra. Oto jego rozmowa z filuterną żoną:

KACPER (*sposztrzegłszy żonę—n. s.*):

Ha, Marta, muszę także zrecznie ją wybadać.

Marto, kochasz ty męża?

MARTA. Ach! cóż mam gadać

O tem, co kiedyś było.

K. Było? nie jest zatem?

M. Jak ma być, kiedy mój mąż rozstał się z tym światem.

K. Co? co? Kacper Dzbankiewicz?

M. Nie żyje! nie żyje!

K. Ej, fe... fe... co to gadać! (*n. s.*): Jak mi serce bije!

(*Po krótkiem milczeniu zaczyna się śmiać i coraz mocniej za każdą odpowiedź żony*).

To ktoś skłamał, ale to skłamał, jak należy.

M. Ach, nie!

K. Nie skłamał?

M. Ach, nie!

K. Ona temu wierzy!

M. I tyle cierpiał...

K. Cierpiał?

- M. Nie za swoją winę.
 K. Umarł więc?
 M. Umarł.
 K. Kacper?
 M. Kacper.
 K. (*trzymając się za boki i zachodząc od śmiechu*): Aj, strach, zginę!
 Oj, kolki! oj, oj, gwałtu!
 M. Wszak byłam w tej chwili,
 Widziałam... (*placze*).
 K. (*drwiąc*): Co widziałaś?
 M. Jak go powiesili.
 K. (*zrywając się*): O, o, fe, fe, to żarty, fe,
 fe, brzydkie żarty,
 Z tem nie trzeba żartować.
 M. W oczach swojej Marty
 Biedny życie zakończył. (*Marta, pla-
 cząc, mówi dalej, Kacper rozczuła się co-
 raz więcej*). «Bywaj zdrowa, żono,
 Mówił. «Bądź zdrów»—ja rzekłam, po-
 tem go złożono...
 W ziemię... (*szlochając*) głęboko...
 K. (*w głos płacząc*): Biedny! (*po krótkim
 czasie*) A czego ja płaczę?
 I mądry czasem głupi, (*n. s.*): lecz te-
 raz zobacze,
 Czy mnie żona kochała. (*Do Marty*):
 Cyt, nie płacz, kochanie,
 Pociesz się, wszakże twój mąż kiedyś
 zmartwychwstanie!
 M. Co to za dusza była!
 K. Ja wiem, takich mało.
 M. Nigdy mędrceć być nie chciał.
 K. Dobrze ci się działo.

- M. Żal mi go niewymownie!
 K. Bóg ci to nagrodzi, [dowodzi,
 Żal twój straszny, okropny, okrutnie
 Że i byłaś, i jesteś dobrą białogłową:
 Słuchaj mię zatem, Kacpra Dzbankie-
 wicza wdowo:
 Ja się z tobą ożenię.
 M. Nie można.
 K. (*z ukontentowaniem*): Czemu?
 M. Bom już serce i rękę przyrzekła innemu.
 K. Komu? Niegodna!
 M. Bratu Błażeja, mielnika.
 K. Kiedy?
 M. Jeszcze za życia męża nieboszczyka.
 K. A fe! i kochasz?
 M. Kocham.
 K. Kochałaś?
 M. Kochałam.
 K. Zatem Kacpra zwodziłaś?
 M. A cóż robić miałam?
 K. (*w złości*): Marto!
 M. Lecz wybacz waćpan, oddalić się muszę.
 K. Czekać!
 M. (*wybiegając*): Adje!
 K. Niewierna, rozszarpie, zaduszę!

 Nie lepiej dzieje się i z Markiem; i te-
 go żona poznać nie chce. Doprowa-
 dzony do rozpaczki, że w domu inny
 rządzi, że opanował wszystkich i wszyst-
 ko, demaskuje się i woła:
 Klaro, żono, zbierz myśli, patrz, kto w tej
 osobie,

Ja jestem Marek, twój mąż, przypomnijże sobie.

Nie pamiętasz? W Lublinie w dzień świętej Justyny,

Poznałaś mię na balu, miałem fraczek siny, Upadłem z tobą w tańcu, stłukłem ci kolano, Potem ci powiedziałem, że jesteś kochaną! Nie pamiętasz? A potem w Łącznej na jarmarku

Rzekałaś raz pierwszy: «Kocham ciebie, miły Marku.»

A potem, gdy zapowiedź wyszła już trzy razy,

U ojców Kapucynów ojciec Atanazy Skojarzył nas w Lublinie dnia piątego kwietnia.

A potem, nie pamiętasz? była to noc letnia... KLARA. Nie pamiętam i nie znam.

M. Tak? dobrze! (*dzwoni*). Hej, słudzy! Nie znasz, ale mnie poznasz, gdy poznają drudzy.

(*Do sług, którzy weszli i ustawili się szeregiem*):

Moje dzieci, powiedzcie razem, głośno, jaśnie,

Kto jestem? (*milczenie*). Nie znacie mnie? (*milczenie*). Niech was piorun trzaśnie!

(*czule*) Ty, Marto! żono Kacpra, którą zawsze lubił,

Której nic dać nie chciałem, gdy cię mąż zaślubił,

Którą raz już wypędził, uwiedziony plotką;

Nie znasz mię? powiedz, nie znasz? (*Marta wzrusza ramionami*).—Poczekaj, czeczotko!

(*czule*) Ty, Filipie, którego rzadko minie kara, [lara,

Któremu za karafkę potracił tak Którego nie chcę trzymać, który nie dbasz o to;

Nie znasz mię? powiedz, nie znasz? (*Filip wzrusza ramionami*).—Poczekaj, niecnoto!

Ty, Bartoszu, którego kij często przemierza,

Którego co niedziela wsadzam do śpichlerza, [do rana,

Który przy bramie stoisz od rana Powiedz, powiedz, Bartoszu, nie znasz twego pana?

(*Milczenie. Bartosz wzrusza ramionami*). Niewdzięczni! nie znacie mię? nikt mię nie zna w domu?

O, chwilo zaślepienia, nieszczęścia i sromu!

(*Rzuca mundur, perukę i obraca się w prawo i w lewo*).

Teraz, teraz znacie mię? (*Milczenie. Marek wybiega na sam przód sceny*).

Co to jest, o Boże! Kacprze, na tobie Zięba zawieść się nie może.

Kacprze, ty wierny sługo, zawsze przy mym boku,

Co mi strzeżesz szkatułki, sypiasz na tłumoku,

Sluchaj, sluchaj mie, pana: uwalniam od słowa,

Zapomnij, jaka byla przekleta umowa,

Powiedz tu, jakes Kacper, jak ci mile zdrowie,

Ach, powiedz, kto ja jestem, jak sie twoj pan zowie?

(Do wszystkich): Cicho!

Kacper, pamietajacy tylko to, ze jesli powie wlasiwe imie swego pana, to go pan zastrzeli, jak obiecał, z cała pewnoscia głosi:

[nia!

Jan Rembosz, rotmistrz, jedziemy z Pozna-

Naturalnie tem wyznaniem Kacpra Marek do ostatecznej rozpaczy został doprowadzony. Zadowolaja sie ta kara spiskowey i przyznaja do zmowy. Ochłonał Marek, a gdy go prosza o przebaczenie, skruszony, oznajmia:

Przebaczam z duszy, serca i moege zareczyeć,
Ze nie spelnie daremnie ta nauczka mała,
Podejrzliwosć na zawsze wladae ma prze-
stała.

«Pierwsza lepsza», komedja wierszem w jednym akcie, przedstawia znudzonego wesołem życiem młodego człowieka, ktory postanawia raz dokonae

tego, co od szesciu lat zamierza, to jest: oenie sie. Dlaczego dotad nie zrobił tego? Ot, nie mogł sie na wybor zdecydowaee. Teraz oenie sie z «pierwsza lepsza», ktora spotka w ogrodzie publicznym. Mimo to, ze sam widzi, iż to zamiar zybit dziwaczny, spelni go jednak, bo sie załozyl o to z klubowymi przyjaciołmi. Na szczescie dowiaduja sie o tem przyjaciele bohatera nierozwaznego i tak rzecz układaja, iż dostaje mu sie ta, ktora go kocha, a ktora on takze kochał, tylko na decyze ostateczna nie mogł sie zdobyee. W komedyce tej wszystko jest nieprawdopodobne, ale, jak zwykle u Fredry dowcip, komizm ozdabiaja sztuke, a do tego wyrozniajaco napisana jest pieknym jezykiem i nader starannym wierszem.

Mowilismy dotad o wybitniejszych komedych Fredry z pierwszego okresu jego autorskiej działalnosci, t. j. od 1821 do 1835 r. Inne komedy mniej sa cenione dla roznych wad i usterek. Chociaz jeszcze krocej, niz dotad, zatrzymamy jednak na nich uwage czytelnika.

«*Mąż i żona*» — to komedia, której krytyka przyznaje bardzo wysokie zalety, jako dzieła sztuki, ale pod względem moralnym jest wyjątkowo u Fredry wadliwa. Mamy tu obraz życia ludzi zepsutych, spróżniaczałych, którzy kosztem honoru, obowiązków małżeńskich, przyjaźni, dogadzają swoim zachciankom chwilowym, swojej zmysłowości. Tak się dzieć może, było to nawet dość częste w epoce, którą malował autor, pomiędzy ludźmi bogatymi. Ale ludzie ci tak mali, postępowanie ich tak nędzne, że nie zasługują na to, aby autor otaczał ich jakimś zbytecznym pobbłażaniem, wiarą, że oni się poprawią. Stąd więc moralne zło, wstrętne postęпки wychodzą w komedji na słabostki tylko. Szkoda zatem i tego wykwintnego dowcipu i tego układu całości, któremu nie zarzucić nie można, dla treści, zgnilizną trącającej.

«*Cudzoziemczyzna*» karcie, ośmiesza tak powszechną u nas wadę naśladownictwa bezwzględnego obczyzny. Myśl więc bardzo poważna i trafna, ale tu znowu za dużo spotykamy usterek pod

względem estetycznym: figury źle są pomyślane, udają, a niepodobna uwierzyć, aby to udawanie mógł ktoś brać za prawdę; główna postać, Radost, chybiona; nie możemy zgodzić się z autorem, że ten człowiek jest w gruncie rzeczy rozsądnym, tylko ma jedną wadę — rozmiłowanie się w cudzoziemczyźnie. I w tej komedji humor, do wci wielki — i tem tylko sztuka okupuje swoje wielkie wady.

«*Ciotunia*» ośmiesza pretensjonalność starych panien. Wykonanie jednak bardzo nie dopisało autorowi w porównaniu z innemi jego utworami.

W komedyjce «*Odludki i poeta*» zastawił nam autor człowieka zgorzkniałego z marzycielem, poetą. A jest on prawdziwym poetą. Oto, co mówi do jednego z odludków o kobiecie:

Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety
wzruszył,
Pierwszą łzę moją oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobietym najpierwej wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgłę dzieciństwa matkę pozna-
wałem,

Nie wiedząc, co kochanie, kobietę kochałem.
 A jeśli później ojca surowe nauki
 Uczyły, jak żyć trzeba i cierpienia sztuki,
 Jeśli im winien jestem miłość, stałość
 w enocie,
 Nie mniej mozem jest winien i matki
 pieszczocie:
 Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze za-
 sady
 Wpajała w młode serce własnymi przykłady,
 I poznałem, gdym przejrzał lat młodych
 ciemnoty,
 Że życie dobrej matki — pierwszą szkołą
 enoty.

Są więc piękne ustępy i rawdziwej poezji w tej sztuce, która mimo to, że nie może nazwać się komedją, bo nie ma węzła dramatycznego — do pięknych utworów zaliczyć się musi.

«*Gwaltu, co się dzieje!*», krotochwila w trzech aktach. Szydź ona z pretensji kobiet do rządzenia światem, gdy powaby jednego żołnierza wystarczają, aby wysocy dygnitarze w spódnicach: pani burmistrz, pani sędzia i pani naczelnik armji broń u jego nóg złożyły. Sytuacji komicznych i tu naturalnie niemało.

«*Przyjaciele*» przedstawiają dwóch młodzieńców, którzy kochają się w pięk-

nej i bogatej wdowie. Jeden z nich, Zdzisław, jako ubogi, nie chce się narzucać Zofji i popiera sprawę swego przyjaciela, Czesława. Zofja sprzyja Zdzisławowi, ale, urażona jego obojętnością, oddaje rękę Czesławowi. Czesław jednak odgadł ofiarę przyjaciela i uczucia Zofji, cofnął się, aby dwie kochające istoty połączyć się mogły. Myśl piękna, ale znowu w wykonaniu nieudana. Zbyt wiele tu niepotrzebnych i nie stojących w ścisłym związku sytuacji i figur, a sam bohater nie ma tego wdzięku, któryby mu sympatję widza zjednał.

«*Nowy Don Kiszot*», ma zbyt wiele nieprawdopodobieństw, błahych scen, tak, że i śmieszyć nie może, mimo, że taki był główny cel jego.

«*List*», komedyjka w jednym akcie, wierszem. Karci zazdrosnego męża, który dostawszy kartkę z romansu, pisanego przez żonę (a nie wiedział, że żona jego zabawia się autorstwem), męczy się zazdrością.

ROZDZIAŁ II.

Przechodzimy do komedji Fredry, ogłoszonych drukiem po śmierci autora. Jak wspomnieliśmy na wstępie, Fredro od r. 1835 zaprzestał publikować swoich komedji. Dopiero po śmierci jego wydobyto ośmnaście sztuk; grywano je na różnych scenach, lecz dotąd trzy tylko z nich mają stałe powodzenie: «*Wielki człowiek do małych interesów*», «*Pan Benet*» i «*Świeczka zgasła*». Przypatrzymy się bliżej tym przynajmniej, które cieszą się większym uznaniem, nie zrzekając się wzmianki i o innych.

«*Wielki człowiek do małych interesów*», komedja w pięciu aktach prozą, przedstawia nam człowieka, co w swojej zarozumiałości sądzi, że wszystkim kieruje, że bez niego światby się skoń-

czył, gdy w gruncie rzeczy to, co robi, ma tylko pozory czegoś poważnego i najczęściej sprowadza skutek przeciwny zamiarom. Że bohater nie jest nieznośnym, a tylko śmiesznym — to dzięki temu, że zawsze chce dobrze, że nikomuby krzywdy nie zrobił, że nie myśli mścić się na tym, który go nie słucha. Żałuje go tylko i wtedy jest najkomiczniejszy.

JENIAŁKIEWICZ (*mówi z wolna, poważnie, zawsze tajemniczo, wydatna gra twarzy i gestów, któremi często myśl swoją poprzedza lub kończy. Okulary na czole podniesione, które w uniesieniu spuszcza czasem na chwilę, w rękę i kieszeniach papiery; te często przewraca i przegląda, czasami coś w pugilaresie zapisuje. Wyprowadza Dolskiego na przód sceny, wpatruje się weń i mówi*): Cóż, panie Janie?

DOLSKI. Nie, mości dobrodzieju.

J. Dobrze? Hm?

D. Dość dobrze.

J. Bardzo dobrze... wszystko idzie, jak po mydle... jesteśmy prawie u celu

D. Ale mnie dreszcz przechodzi... Ja miałbym urząd otrzymać?

J. Ale nikomu ani słowa... ani pół słowa... bo widzisz, na tym świecie... Rozumiesz?

D. Tak dalece... niekoniecznie...

J. Pst... spuść się na mnie.

D. Ale któż więcej ode mnie spuszcza się na ciebie, kochany panie? Od roku przestałeś być moim opiekunem, a ja przecież zawsze pod opieką.

J. Czy źle na tem wychodzisz?

D. I owszem... ale...

J. Bo co się tyczy opieki, mój Dolski, mnie się pytaj, ja ci powiem... miałem ich, mam niemato... a wszystkie... (*pokazuje gościami, jakby leżąc trzymał i niemi kierował*).

D. Zadajesz sobie tyle pracy...

J. Prawda. Drugi padłby pod ciężarem, ale ja, Bogu dzięki, umiem sobie radzić... Od tylu lat opieka na opiekę, a jakie?... fiu... Mój brat Antoni zostawia mi Leona... majątek zadłużony — fraszka: oczyściłem radykalnie... wszystko sprzedałem i długi spłaciłem. Leon z pod mojej opieki wyszedł czysty, jak bursztyn.

Tak, jak Leon, który wyszedł czysty... bez grosza, wychodzili pewno i inni pupille; ale p. Jeniałkiewicz tego nie uznaje, pewności siebie nie traci. Baczność i wielka strategia jego wyteżone są obecnie na to, aby przeprowadzić tak wybory, iżby Dolski był wybrany na dyrektora; nadto, aby ofiary jego opieki, trzy panny i trzech kawalerów, połączyć ze sobą, ale tak, iżby pary te

były *dobrane*; dobór zaś ten ułożył w swej gienjalnej głowie. Obmyśla więc plany, chociaż nie nie działa (co nie jest zaletą komedji naturalnie). Plany te jednak zupełnie się nie udają. Młodzi idą za popędem serca, a nie za radami Jeniałkiewicza. Najtrudniej mu z energiczną Matyldą. Oto ich rozmowa:

J. (*bierze za ręce swoje pupille, Aniele i Matyldę, i wpatruje się w nie*). Cóż?

MATYŁDA. Źle.

J. Jakto? co źle?

M. Piękny opiekun ze stryjaszka, och!... Pupille także wychowani... jeden zawsze się czai, a drugi zawsze lata...

J. Co, co ta plecie? piękny opiekun... a wiesz ty, ile ja już w życiu opiek miałem?

M. (*obojętnie, bawiąc się harapnikiem*). Piećdziesiąt cztery. Co, więcej?

J. (*spuszczając okulary na nos*). Żebym miał i sto cztery, nie miałbym drugiego takiego kozaka jak waćpanna. (*Podnosząc okulary*) Czemu waćpanna bez panny Moczybłockiej wyjeżdżasz z domu?

M. Bo nie mam konia pod panią Moczybłocką.

J. To... to... to... to...

M. (*z przymiłowaniem*). A fe, stryjaszku, gniewać się... piękny przykład dajesz... opiekun? No... no... nie gniewaj się, stryjaszku.

J. (*tagódniej*) Mam z tobą pomówić. Matyldo, z tobą w długie rezonowanie wdawać się nie można... zatem krótko powiem: Matyldo, czas nadszedł... mam dla ciebie męża...

M. A milego? słodkiego? rumianego?

J. Ja nie żartuję.

M. Jego imię, herb, przezwisko?

J. Imię: Jaś.

M. Wolałabym Kleofas. A dalej?

J. Jednym słowem—Dolski.

M. Jednym słowem: nie chcę.

J. Jakto, nie chcę?

M. Nie chcę.

J. Dlaczego?

M. Bo mi się nie podoba.

J. Ależ, moja panno, i mnie, opiekuna, spytać się trzeba, czy się podoba, czy nie.

M. Nie widzę koniecznej potrzeby.

J. (*spuszczając okulary*): Co? co? Dziewczyno, nie wyzywaj mię!

M. (*całując go w ramię*): A choćby... lepiej strzelam, niż stryjaszek.

J. O, wiem, wiem... koń, harap, pistolet, brak jeszcze fajki.

M. Nie lubię.

J. Zatem słuchać mię nie chcesz?

M. Na co się stryjaszek pyta, kiedy wie dobrze, że nigdy nie słuchałam i słuchać nie będę.

J. (*wyprowadzając ją na przód sceny*): Matyldo, córko mojego ś. p. brata, Józefa, której opieką Pan Bóg raczył mię nawieźć, pytam się bez żartu, pytam cię się

solemnie: Będiesz mi posłuszną, albo nie?

M. Jak stryjaszka serdecznie kocham: nie.

J. (*przyszedłszy do siebie z zadziwienia*) Ale, dziewczyno, co ty poczniesz bez mojej rady?

M. Ja sobie poradzę... i lepiej, niż stryjaszek... Ja stryjaszka bardzo kocham... ale stryjaszek nie tęgi do rady... na honor—nie tęgi.

J. A to... to... jakim Ambroży.

M. Jakem Matylda, prawda. Bo cóż mi stryjaszek radzi? Iść za Dolskiego.

J. (*do siebie*) Nie tęgi do rady...

M. Ale pan Dolski mnie się nie podoba, a i ja panu Dolskiemu się nie podobam.

J. Spuść się na mnie...

M. (*kończąc*) A dobrze wyjdiesz.

J. Zapewne, że dobrze.

M. Wątpię.

J. Kogóż ty chcesz?

M. Nikogo.

J. Chcesz zostać starą panną?

M. Cóż z tego?

J. Winszuję!

M. A stryjaszek stary kawaler, a przecie wszyscy go kochają.

J. Ale dlaczego nie tęgi do rady? Nikt mi jeszcze tego nie powiedział, jakim Ambroży.

M. Dlatego, że ile mi razy stryjaszek co poradził, ja zawsze przeciwnie zrobiłam, a mimo tego doszłam do lat dziewiętnastu i jestem zawsze zdrowa, wesola i... ładna. Co, nieprawda?

J. (*chce odpowiedzieć, ale spuszcza okulary, kiwa ręką i odchodzi*).

I w kojarzeniu małżeństw z pozostałymi rzecz nie idzie: kochają się i żenią, ale nie ci z temi, których genialny człowiek wybrał. Nie lepiej poszło z wyborami: wybrany został na dyrektora wprawdzie jeden z pupilów Jeniałkiewicza, ale nie Dolski, którego protegował.

A nietylko te dwie postacie, których rozmowie przysłuchiwałeś się, ale inne, prawie wszystkie — są bardzo interesujące i sympatyczne. To też mimo to, że w tej komedji charakter naczelnej postaci nie został wyzyskany, że w rozwoju sztuki interesują, bawią rzeczy uboczne, a główna postać pozostaje nieczynna, bez wpływu; mimo to komedja ta cieszy się wielkiem powodzeniem.

Urywek ten pokazuje nam, że i w późniejszych utworach jest i ten wdzięk, i ten dowcip i ten komizm, jak w dawniejszych. Matylda nie ustępuje Klarze ze «Ślubów», a Jeniałkiewicz jest zupełnie nową postacią.

«Pan Benet», jednoaktowa komedja, wierszem, należy bezwątpienia do najweselszych i najlepiej pomyślanych. Oto, jak nam się prezentuje pan Benet:

(*Chodzi z wolna po pokoju i mówiąc, klapką muchy bije*).

Beatus qui tenet,

Powiedział pan Benet.

Pan Benet, mój antenat, bardzo mądra głowa,

Przewodnią też są moja święte jego słowa.
Każdy goni za szczęściem, a jak go dopadnie,
Puszcza z rąk, bo co szczęście, sam nie wie
dokładnie.

Goni całe swe życie, bez ustanku, wściekle,
Tłucze się za tem szczęściem, jak Marek
po piekle,

I dziwi się na końcu przeznaczeniu swemu,
Że prócz guzów nic nie miał. A któż wienien temu?

Nie biegaj, nie potkniesz się, nie pnij się,
nie spadniesz,

Nie pływaj, nie utoniesz, a gdy co owładniesz,

Trzymaj się tego silnie, jak pijany płota...
Lepsza pewnośc żelazna, niż nadzieja złota.
Kiedy ze wschodem słońca w tabakierkę
puknę,

Tabaczki całym nosem na dzień dobry
smuknę,

Kiedy później zdrów, wesół, wezmę się do
pracy:

Najprzód kawkę z buleczką gładko zmiotę
z tacy,

Potem kwiaty powącham, papugę poskrobie,
Potem z klapką na muchy popoluję sobie,
Kiedy nareszcie, panie, po chwili spoczynku
Zjem obiadek i potem zdrzemnę przy ko-
minku,

A cisza, cisza luba wkoło mnie osiedzie,
Pytam się, czy nam kiedy lepiej w raj
będzie?

Tymczasem do domu tego szczęśliwego sybaryty przyjeżdża bratanek Zdzisław, zrozpaczony, który nietylko tem, co mówi, maści ukochany spokój Beneta, ale najprzód w rozgorączkowaniu rzuca palto na klatkę z papugą, potem znowu na kwiaty i biega ciągle po pokoju. Przerażony Benet bada synowca o powody rozpacz. Oto Zdzisław zdradzony przez ukochaną Paulinę, wychowaną brata p. Beneta, pułkownika. Był już z nią po zaręczynach i spokojny wyjechał do Krakowa; wtem odbiera bezimienny list, że panna ma oddać rękę jego rywalowi, i własnoręczny list Pauliny do przyjaciółki, w którym to samo powtórzone. Zdzisław pisze natychmiast do stryja: «Twoja wychowanka niech sobie idzie

za swego kochanka», a do Pauliny: «Bywaj zdrowa». Opuszcza potem Kraków, ucieka od ludzi w stepy, ale i tam uspokoić się nie może. Pojedzie zatem do dzikich krajów między lamparty, szakale, ale wprzód w pojedynku zastrzeli rywala, lub sam zginie.

P. BENET. W rzeczy samej: z dwojga
złego

Lepsza tu kulka człowieka,
Niż tam tygrysia paszczeka.
Tu przynajmniej zwłoki twoje
Spokojnie w Benetów grobie
Będą mogły legnąć sobie.

Wtem oddają list panu Benetowi od brata pułkownika, w którym pułkownik donosi, że w krótkce nadjedzie z żoną. Z żoną? Wszak stary pułkownik nieżonaty. Ożenił się, i to tak nagle, tajemniczo? Z kim? Otóż z Pauliną, wychowaną. Zgroza przejmuje Zdzisława. Ale p. Benet zrozpaczony. Co będzie, gdy się pod jego spokojnym dachem zjadą dwaj wrogowie? A obaj tak *niespokojnego ducha*. Nadjeżdża pułkownik z Pauliną, trwoga p. Beneta się wzmaga. Ale dziwna rzecz: pułkownik nietylko nie obawia się rywala

la, ale chętnie ułatwia mu sam na sam ze swoją młodą żoną. Nowe niepokoje p. Beneta. Do czego dąży? Co wyniknąć może stąd dla honoru domu Benetów? Rzecz nareszcie się wyświeśla: Paulina nie zdradziła Zdzisława; tak mocno ufała w jego stałość, że założyła się z przyjaciółkami, iż nie nie zachwieje miłości Zdzisława i ufności ku niej, nawet list jej własny, że oddaje rękę innemu. Tymczasem Zdzisław uwierzył w zdradę Pauliny — i to powodem wszystkich kolizji. Pułkownik wie, gdzie Zdzisława zastanie, jedzie tam, chcąc wybadać, a i ukarać zapaleńca, udaje, że wziął ślub z wychowanką. Gdy się kochankowie spotkali i miłość wzajemną wyznali, pułkownik rzecz wyświeśla i p. Benet odetchnął. Pułkownik taką nauzkę daje młodym:

Co więc chciałem, dokonałem,
 Imię panu nauzkę dałem,
 Jakże często gorzkie żale
 Za zdziałane coś w zapale.
 A imię panna niech pamięta,
 W jak małej czasem iskierce
 Leży władza niepojęta,
 Co rozerwać może serce.

W zabawnej tej komedyjce postać p. Beneta bardzo jest komiczna przez to, że narażony jest na bezustanne niepokoje wskutek nasuwanych sytuacji, ten właśnie, który za cel życia obrał szukanie spokojności.

«*Świeczka zgasła*» przedstawia dwoje młodych ludzi, którzy jadąc dyliżansem, a nie widząc się dobrze wskutek słabego oświetlenia, nie interesują się sobą wzajemnie. Dyliżans się wywraca, psuje i podróżni zmuszeni są w wiejskiej chacie przy łojowej świeczce, słabo oświetlającej izbę, oczekiwać, dopóki kareta naprawioną nie będzie. Sprzecząją się nieustannie, bo pan nie chce nieść usług damie, a ta ciągle żżyma się na jego niegrzeczność. Zziębnięci, głodni, znajdują kartofle, piekące się w popiele. Posilają się niemi i wtedy pani zmuszona podnieść woalkę. Przypatrują się sobie, widzą, że są młodzi i bardzo przystojni. Zmienia się postać rzeczy, budzi sympatja, następują oświadczenia. Wtem świeczka gaśnie. Z drażliwego położenia wybawia ich nadjeżdżająca naprawiona już

kareta. Jadą więc w dalszą drogę jako narzeczeni.

Do najlepszych komedji w wydaniu pośmiertnem wypada zaliczyć: «*Dwie bliźny*» i «*Godzien litości*». Pierwsza z nich, wesola komedyjka jednoaktowa prozą, daje nam postać kobiecą, p. kasztelanową, nieco podobną do Jenałkiewicza: pewna siebie, tak jak on, myśląca się w planach, jak on; tylko rzeczywiście energiczna i umiejąca łamać stawiany jej opór. Ma ona pod opieką młodą, piękną wdowę, swoją siostrzenicę, p. Malską. Umówiła się ze swym przyjacielem, radcą stanu p. Tuskim, że odda jej rękę jego synowi, sekretarzowi ambasady w Neapolu. Gdy młoda wdowa wątpi, czy to małżeństwo ich uszczęśliwi, kasztelanowa ma na to odpowiedź: «Ja ci ręczę». Gdy jakakolwiek zresztą objawi wątpliwość, słyszy: «Już kiedy ja co powiem, to tak jest, a nie inaczej». I tak rzeczywiście wszystkim kieruje, że, aby siostrzenica nie była narażoną na różne bałamuctwa, postanowiła i święcie dotrzymywała dotąd, że żaden mężczyzna

nie mógł w jej domu zabawić dłużej nad godzinę. I tak miało być aż do chwili, dopóki p. Malska za mąż nie wyjdzie za sekretarza ambasady. Niebawem nadchodzi list od przyjaciółki kasztelanowej, że młody Tulski wkrótce przyjedzie do jej domu, ale incognito, przebrany. Poznać go jednak będzie można, bo ma bliźnę nad okiem. Gdy panie list odeczytały i wyglądały oknem na burzę nagle nadchodzącą, spostrzegły w ogrodzie nieznanomego jakiegoś mężczyznę, który przed burzą schronił się pod drzewo. Kazano go zaprosić do domu z ostrzeżeniem, że nie może dłużej nad godzinę pozostać. Nieznajomy wchodzi i prezentuje się: «Jestem Barski, kapitan artylerji». Domyślna kasztelanowa posądza go, że jest Tuskim, występującym incognito pod przybranem nazwiskiem. Godzinę spędzają razem, a są chwile, że Barski zostaje sam na sam z piękną wdową. Jakaś nieprzeparta siła ciągnie ich do siebie, jakby jakieś wspomnienie budziło się w ich sercach. Gorący a otwarty kapitan oświadcza swą mi-

łość wdówec; ale ta nie jest naturalnie tak pochopna, jak dzielny artylerzysta. Wtem wchodzi kasztelanowa i oznajmia Barskiemu, że godzina minęła i że ma się oddalić natychmiast, chyba, że się przyzna, że przyjeżdża incognito i że jest młodym Tulskim. Waha się szczerą naturą żołnierza—jej niełatwo czepić się fałszu. Przemogły jednak wdzięki pięknej wdówki — i ażeby nie utracić jej widoku, kłamie, uznaje się za Tulskiego i zostaje. Tymczasem do dworu zajechał jakiś nieznajomy i mimo to, że prezentuje się jako nie Tulski, bo powiada, że się zwie Skulski, budzi znowu podejrzenie, czy nie jest istotnie Tulskim pod obcym nazwiskiem. Jest więc dwóch mężczyzn podejrzanych o incognito. Kasztelanowa przypomina sobie o liście, a w nim o jakimś znaku, po którym zdradzi się Tulski. Jest list, jest i o znaku: będzie nim blizna nad okiem. Wszystkoby się wyjaśniło, gdyby nie ta nieszczęśliwa okoliczność, że obaj panowie mają bliznę nad okiem. Prawda—jeden nad prawem, drugi nad lewem, ale w liście niema wyjaśnienia,

nad którym okiem ma bliznę młody Tulski. Komu teraz wierzyć?

Tu następują jeszcze pewne drobne zawikłania, pełne ruchu i komizmu. Rzecz jednak rozstrzyga to, że wdowa i Barski przypominają sobie, że przed kilkunastu laty, gdy p. Malska dzieckiem jeszcze była, Barski, młodziutki oficer, woził ją na koniu, nosił na ręku i że nareszcie całe życie marzył tylko o niej. Tak więc, mimo całej stanowczości i mądrości kasztelanowej—wdowa wychodzi za kapitana, a nie za sekretarza ambasady.

Oprócz zalet tej komedji, jak zręcznie prowadzonej intrygi, komizmu, dowcipu, zyskujemy w niej jedną jeszcze nową postać kobiety w osobie kasztelanowej, a niemniej ciekawą w osobie panny Figaszewskiej — postać rezydentki dawnych dworów. Prześlicznie pisze Tarnowski o tych małych cierpieniach w życiu niektórych istot, a przecież szereg tych cierpień stanowi tak ciężkie to życie: «Zmierzył ko tę otchłań wyrzeczeń się, która się nazywa życiem starej panny na respek-

cie? Jaki tam brak wszystkiego, co życiu nadaje wdzięk, jaka smutna jednostajność, ile wyzucia się z własnej woli, nawet z miłości własnej! ile cichej rezygnacji w tem przywyknięciu do swego życia, ile nieraz upokorzeń!» W panie Figaszewskiej dał nam Fredro doskonały typ wszystkich tych nieszczęśliwych rezydentek, starych guwernantek i tych starych panien, które potrafiły zrzec się różnych cech, jakimi często się ośmieszają.

W komedji «*Godzien litości*» mamy znowu obraz człowieka (pono zjawisko u nas dość częste), który nietylko w innych, ale i w siebie wmawia, że godzien jest litości, bo jego wielkich przymiotów, talentów, poświęceń ludzkie nie oceniają, a w gruncie rzeczy człowiek ten wyzyskuje wszystkich. Jest tu i postać młodej panny, która chwyciwszy się ujemnych stron emancypacji, samodzielności, stawia kroki fałszywe, a potem sama wstydzić się ich musi.

«*Rewolwer*», w pięciu aktach, wierszem, komedja, wedle zdania Tarnow-

skiego, «jedna z najsłabszych, jaką Fredro kiedykolwiek napisał». Ma ona za bohatera człowieka, który składa się «z miłości do pieniędzy i ze strachu: głównie strachu konspiracji, odpowiedzialności».

«*Wychowanka*», komedja serio (jak sam autor zaznaczył) w pięciu aktach, odtwarza losy biednej kobiety, która znosić musi najrozlicniejsze przykrości, upokorzenia, być przedmiotem nędznych intryg. Przedmiot więc bardzo poważny. Ale, niestety, mimo pięknych scen, obrazów — całość treści przygniata swoją brzydota moralną. Nie był tu na miejscu może na ten humor, który słabe strony komedji Fredry umiał zawsze ratować.

«*Ożenić się nie mogę*», komedja w jednym akcie, wierszem, przedstawia śmieszna osobę Florka, mieszczanina, który nie może się ożenić, bo się żadnej kobiecie nie podoba. Taka komedyjka, bez jakiegoś założenia poważniejszego, powinna być bardzo zabawna, ale ta taką nie jest.

Nie do udanych zaliczyć też wypada

«*Teraz*», szkic dramatyczny w jednym akcie, wierszem. Ma to być satyra współczesnego zepsucia: bohaterka jedna pragnie tylko majątku; druga oddaje rękę człowiekowi bez żadnych zalet, prócz że jest wesoły, zabawny. Jest tu i młody człowiek bez zasad i woli, stara ciotka, opiekunka, która nie wie nic, co się z jej wychowankami dzieje. Gdyby obok tych cieniów były i światła rysy czasów obecnych, obrazby nie raził, ale gdy są same cienie, to słusznie pisze Tarnowski: «Tak jeszcze u nas nie jest i nie zdaje się, żeby tak źle być miało. Oczywiście autor byłby to wszystko uwzględnił, gdyby był pisał dzieło, a nie drobnostkę». Pomysł więc niezawodnie bogaty «w mądre i przydatne prawdy», ale niewyży-skany.

«*Ostatnia wola*» ośmiesza chciwość spadkobierców. «*Co tu kłopotu*» przedstawia człowieka bez woli, dającego się powodować temu, który nań nacisk kładzie. Ale ma on serce i to go ocala: miłość prawdziwa budzi w nim lepsze instynkty, energję, chęć do pracy.

«*Lita et comp.*», zabawna krotoczwila sceniczna. Niemało humoru ma w sobie i «*Dyliżans*». — «*Jestem zabójcą!*» ośmiesza starego opiekuna, który chce się żenić ze swoją wychowanką. «*Koncert*», ładna komedyjka, ale wymagająca, aby dwie osoby umiały ładnie grać i śpiewać.

ZAKOŃCZENIE.

Jakaż więc jest dążność Fredry, kogo i co komedje jego chłoszczą, ośmieszają, co pragnęłyby wytepić? Przedewszystkiem chłoszcze on tych, którzy innymi chcieliby się wydawać, aniżeli są w rzeczywistości; którzy pod maską pozorów chcą ukryć i nasycić swoją próżność, mściwość, żądę wyniesienia się, żądę zysków. Do takich postaci, napiętnowanych przez komedje Fredry, należą np.: Geldhab, próżny a z gruntu zły; — pokorny i pobożny pozornie, a fałszywy, mściwy samolub, rejent z «Zemsty»; — Serafin z «Ostatniej woli» zaślanający się zasadami moralnemi i gotowy w imię ich krzywdzić bliźniego. — Szware i Papryka, korystający z zaufania i słabości ludzkiej z komedji «Co tu kłopotu»; — żona

i siostrzenica Moderskiego z «Wychowanki», poświęcające spokój i honor sieroty; — Elwin z «Godzien litości», który narzeka, iż świat nie ocenia cnót jego, a wiecznie wyzyskuje wszystkich. Z pewnem pobłażaniem ośmieszają Fredro grzeszących słabością stałą lub chwilową. Do takich figur należą przede wszystkim starzejący się ludzie, a przecież pragnący uchodzić za młodych, godnych podobania się płci drugiej. Ośmieszają więc: majora, rotmistrza, Anielę z «Dam i huzarów», cześnika i podstolinę z «Zemsty za mur graniczny», Małgorzatę z «Ciotuni», panią Zielską z «Ostatniej woli», Kozaczkiewicza z «Jestem zabójcą», p. Bobinet z «Przyjaciół» i t. d. Z upodobaniem wyszydza zarozumiałość, zbyteczną pewność siebie, jak Jeniałkiewicza w «Wielkim człowieku do małych interesów», kasztelanową w «Dwóch bliźnach», do pewnego stopnia Klarę urocą w «Ślubach». Karci zazdrość, szczególnie w stosunkach małżeńskich. Ofiarą tej wady są: Ordon w «Liście» i Marek w «Nikt mię nie zna». Wyszzydza kłótniwość,

gderalstwo w komedji «Zrzędność i przekora», po części w «Odludkach»; potępia naśladowanie obczyzny w «Cudzoziemieczyźnie»; próżniactwo i myśl tylko o zabawach w «Panu Jowialskim», pyszałkowość i samochwalstwo w Pappinzie z «Zemsty», gnuśność w «Panu Benecie»; ośmiesza kobiety, goniące za przesadną emancypacją w «Gwałtu, co się dzieje!», w «Godzien liitości» (Antosia); nieogłędność w «Pierwszej lepszej», w «Panu Benecie» (list Pauliny); zgorzkniałość w «Odludkach; czułościowość i przesadę we Florze z «Geldhaba», w Helenie z «Jowialskiego».

A cóż Fredro otacza sympatją? Najsympatyczniejsi są dla niego wojskowi. Szczerłość, ich prostota uczuć, dzielność — oto przymioty, które najwięcej ceni i nagradza zwykle takich bohaterów względami płci nadoznej. Nawet w bohaterkach swoich takie cnoty w granicach, naturalnie, ich płci właściwych, chętnie widzi. Szlachetność, prawdziwą dobroć — tak ceni, że przebacza słabości inne obok tych zalet i pociąga nas ku takim po-

stacjom. Tak np. sympatyczną nakreślił postać w cześniku mimo jego wad i śmiesznośtek, bo umie nagradzać wyrządzone krzywdy, umie zapanować nad sobą wobec tradycyjnych obowiązków gościnności; pobłażliwie sędzi Jowialskiego, bo nie zniósłby on krzywdy ludzkiej, o ile by ją zrozumiał, a Jeniałkiewicz okupuje swoją zarozumiałość tem, że on chce właściwie dobra. Zjednywa sympatję czytelnika dla Stanisława w komedji «Ostatnia wola», bo choć ma tysiące wad, ma jednak odwagę przyznawać się do nich i otwarcie występować przeciw udawanej enocie. W komedji «Nikt mię nie zna», gdy Marta wyśmiewa głupotę Kacpra, kładzie autor w usta Czesława uwagę: «Marto, ten tylko głupi, kto zły», a Kacper złym nie jest. Otacza też serdecznem współczuciem sieroty, np. bohaterkę w «Wyhowance», Rozalję w komedji «Co tu kłopotu»; współczuje z ciemieżonymi, nieuprzywilejowanymi, np., malując postać Figaszewskiej w «Dwóch bliźnach». Najlepszym, najmędrszym w komedji «Co tu kłopotu»

robi Szczepanka, prostaczka, służącego, a gdy w tejże komedji biednej dziewczynie zalecają, aby pozorów unikała, kładzie w jej usta słowa, że biednym nawet i tego losy nie pozwalają. Sympatją też otoczył ubogiego poetę z «Odludków». A jakich Fredro najwięcej sobie ulubił? Takie niewinne, czyste, dobre, szczere, tak kochające istoty, jak Aniela w «Ślubach».

Zdrowe więc i szlachetne ziarno siał Fredro, a wydało ono ten plon przynajmniej, że do świadomości widzów doprowadzało to złe, którego dotąd często nie zauważyli; sądziłoby też wypadało, że ze względu, iż żadna ze sztuk pięknych nie uwydatnia tak doskonale tego, co przedstawia, jak dramat, teatr, to niejedna z wad wytykanych w komedjach, jeśli nie została wyrugowana, ograniczyła swoje rozmiary, a przynajmniej za cnotę uchodzić przestała. Mamy zaś prawo wierzyć we wpływ naszego pisarza, bo wpływ ten zależy od talentu, a on miał taki, że w tym rodzaju znajduje w literaturze świata sobie równych, ale

nie wyższych od siebie, a u nas jest najwyższym.. Nie znaczy to, aby w jego utworach wad nie było. Są one i w najlepszych niekiedy, a cóż dopiero mówić o słabszych. Wytykano je nieraz, i słusznie, a takimi są: jakieś zaniedbanie nieraz w stylu, w wierszu, a przedewszystkiem lekceważenie logiki, prawdopodobieństwa w osnowie, t. zw. fabule komedji. Umie on pisać wierszem najpiękniejszym, zdaje się, że gdyby sobie zechciał zadać nieco trudu, znalazłby przecież inne sposoby wyłożenia swojej myśli, sposoby, które istotne przedstawiałyby życie. Tymczasem na to nie zważa i poniża swoje dzieła, ściąga na nie zarzuty; byłyby one arcydziełami w swoim rodzaju, gdyby nieco więcej nad niemi pomyślał.

Bez wątpienia więcej, niż fabuła, i zręczne jej rozwiązanie, zostawia wpływ charakterystyka osób działających, w czem komedje Fredry celują, ale zyskałyby one niezawodnie pod względem artystycznym, gdyby tych wad nie miały. Tarnowski przypuszcza, że

wady te pochodziły z tego powodu, że Fredro, jak wielu mistrzów, nie lubił wracać myślą do swoich utworów, skoro były skończone — wygładzać ich, poprawiać. Przypuszcza też, że Fredro większą łatwość mieć musiał w wyszukaniu komicznych scen i charakterów, niż intrygi. «Czy jest to tylko wrodzonym defektem jego talentu, czy nie jest i skutkiem tego, że ten talent wyrabiał się na komedji Moliera, która także o intrygę i rozwiązanie najmniej się troszczy? Nie wiedzieć! To pewna, że z błędów, właściwych jego sztukom, ten jest największy i że wskazawszy go, już się innych (prócz szczegółowych) do wskazania niema.» A jakież mają zalety? «Musi być jakaś siła życia (mówi tenże krytyk-estetyk), jakiś zasób prawdy, oryginalności i dowcipu w komedjach, które, utrzymując się tak długo na wszystkich scenach całego narodu, nie starzeją się, nie schodzą z pola i powszechną zgodą tego narodu uznane są za to, co ma najlepszego w swoim teatrze.»

Niełatwo wytłómaczyć, co jest tym

czarem, który nas do dzieł sztuki przykuwa, co sprawia, że one w myśli i sercu się nie zacierają. To też tylko porównanie z innymi wyświeśla nam w pewnych punktach przynajmniej to, czem jedne górują nad innymi. W komedjach Fredry uderza więc ta wyrazistość, t. zw. plastyka postaci, która nam daje cześnika i rejenta, Łatkę, Klarę, Anielę i Gustawa, a zresztą tyle innych tak się widzi, zna, jakby istotnie te osoby istniały, jakbyśmy z nimi dawno i długo obcowali. Wie się nie tylko to, co mówiły, ale gdyby nas kto zapytał, coby zrobiły w wypadku, który na scenie nie zaszedł, umielibyśmy natychmiast odpowiedzieć, bo przecież znamy je tak dokładnie. Ale nie tylko znamy te postacie, my je kochamy lub się nimi brzydzimy, bośmy myśleli o tem, odczuwali to, co one myślą i czują: myśmy nie w teatrze byli, ale na rzeczywistych ludzi patrzyli, rzeczywiste życie śledzili.

Utwory Fredry są komedjami, i to komedjami w smaku nie dzisiejszym.

Takie komedje wymagają dowcipu, któryby wytwarzał rozmowy nieblade, sceny pełne życia, ruchu, komizmu. Pod tym względem Fredro nie miał i nie ma równego, u nas przynajmniej. Są komedje, np.: «Nikt mię nie zna», gdzie żal bierze, iż tak marnotrawnie sypie perłami dowcipu wobec drobnych i nieprawdopodobnych wydarzeń. Inny rozdzieliłby ten zbytek na kilka utworów i zyskałby sławę niepospolitego komika. Moznaby niemałą rozprawę napisać o humorze Fredry i mimo to, że już pisano i wydobywano te perły dowcipu, mimo to, że spektatorowie wynosili je i wynoszą z teatru— znalazłoby się jeszcze niemało, o których nie pisano. A wynikło to stąd, że jedne zagłuszane bywają przez drugie, że naraz w jednym wierszu jest ich parę. I w tem bogactwie dowcipu jest jeden z największych powodów, dla których komedje Fredry tak ciągną do siebie.

Cecha komedji Fredry jest jeszcze to, że z małym wyjątkiem przedstawiają one życie czysto swojskie. Cecha ta szko-

dzi samemu autorowi o tyle, że gdyby nie ona, tłumaczonoby go na obce języki i grywano wszędzie. Takie, jak są, zrozumianeby nie były. Nietylko cześnika, rejenta i Dyndalskiego nie zrozumianoby, ale Radost, Gustaw, Aniela—mają rysy tak czysto polskie, że tylko my w pełni odczuwać je możemy. Cecha ta dla nas jednak, dla naszej literatury jest tem miłsza, i sprawia to, że je i rozumieć i odczuwać możemy ściślej i goręcej.

Na zakończenie przytoczę słowa Tarnowskiego, którego studjum najgłębiej w talent Fredry sięgnęło: Fredro «zbogacił naszą literaturę całą jedną gałęzią, która przed nim puszczała tak słabo i biednie, że ledwie za coś uważaną być mogła: dał jej komedję własną, narodową, krew z krwi i kość z kości, pod względem artystycznym znakomicie piękną, pod względem moralnym nieprzewrotną ani fałszywą, i z jednym wyjątkiem, pod względem moralnym dobrą, prostą, zdrową.»

KSIEGA WIADOMOŚCI POŻYTECZNYCH

objaśniona 2.500 rysunkami

Aeronautyka – Anatomja – Architektura – Astronomia – Botanika – Chemja – Elektrotechnika – Fizyka – Fizjologia – Geologia – Geografja fizyczna – Hygiena – Kosmografja – Matematyka – Mechanika – Medycyna – Meteorologia – Mineralogja – Ogrodnictwo – Przemysł – Rolnictwo – Sport – Technologia – Wojskowość – Zoologia – Żeglarstwo.

Przeznaczeniem tej Księgi jest podanie czytelnikowi informacji szybkich, zwięzłych, a zrozumiałych i jasnych, przypomnienie rzeczy niegdyś mu znanych lub upewnienie go, że wiadomości, jakie posiada w danym przedmiocie, są zgodne z dzisiejszym stanem nauki. – Liczne i wyraźne rysunki objaśniają tekst. Liczba ich dochodzi do 2500, tekst zawiera 1100 stronice ścisłego druku. – Chlubne uznanie, jakie Księga wiadomości pożytecznych zdobyła sobie na ostatnim Zjeździe Przyrodniczym w Krakowie, jest dowodem jej wartości i praktyczności. Jest ona niezbędną w każdym domu, przyjacielem i doradcą, informującym w każdej kwestji, dotyczącej nauki.

Cena za całość Rb. 6,

w opr. w płót. ang. Rb. 6.75; w półskórek Rb. 7.

SŁOWNIK ORTOGRAFICZNY JĘZYKA POLSKIEGO.

Książka niniejsza obejmująca całość ortograficznych prawideł, uporządkowana według jednolitego, naukowo uzasadnionego systemu, czyni zadość pilnej potrzebie ogółu. Dogodny jej układ pozwoli znaleźć w zwykłym porządku alfabetycznym każdy wyraz, bądź swojski, bądź z obcej mowy przyswojony, lub też używany w mowie i piśmiennictwie, a nasuwający jakąś wątpliwość co do swej pisowni, końcówki w odmianach gramatycznych, wreszcie podziału na zgłoski, przenoszenia części wyrazu na wiersz następny i t. p.

Książka ta wysoce praktyczna, niezbędna każdemu piszącemu, jako nieodłączny doradca, wyjdzie w niedługim czasie.

SŁOWNIK ILUSTROWANY JĘZYKA POLSKIEGO.

Każdy inteligentny człowiek czuje potrzebę posiadania Słownika podręcznego, w którymby znalazł obraz możliwie dokładny dzisiejszego stanu języka, jasne, krótkie i wyczerpujące objaśnienia rozmaitych znaczeń każdego wyrazu, sposobów jego użycia, synonimów, pisowni oraz trudniejszych form gramatycznych.

Tym potrzebom uczynić zadość pragnie niniejszy Słownik, w którym bardzo liczne ilustracje będą objaśnieniem i uzupełnieniem wyrazów trudniejszych do opisanja.

Słownik powyższy zacznie wkrótce wychodzić zeszytami po kop. 15.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW OBCYCH

12,000 wyrazów, wyrażeń, zwrotów i przysłów cudzoziemskich, używanych w mowie potocznej i w prasie periodycznej polskiej.

WYDANIE III, znacznie powiększone.

Cena bez opr. rb. 1.20; w opr. ozdob. w płótno angielskie rb. 1.50.

Prof. K. ARENDTS.

ATLAS HISTORJI NATURALNEJ

Zoologja, Botanika, Mineralogja, Geologja

76 tablic zawierających 1100 wizerunków

z tekstem szczegółowym, napisanym

przez B. Dyakowskiego i A. Słóarskiego.

Cena rb. 2 kop. 25.

Niniejszy Atlas został wybrany do przyswojenia językowi polskiemu, jako jeden z najlepszych i najobfitszych atlasów, używanych w zakładach naukowych w wielu krajach.

Opracowany na podstawie długoletnich doświadczeń w wykładzie szkolnym, jest on doskonałą pomocą w nauce przyrody, a odznaczając się wyborną metodyką, podaje możność szybkiego porównawczego przeglądu wszystkich działów Historji naturalnej.

Tekst jest umieszczony tuż przy każdej tablicy, co pozwala jednocześnie przy czytaniu tekstu posilkować się rysunkiem i naodwrot. Całość jest tak opracowana, że może służyć także jako podręcznik dla nauczycieli i dla uczniów.

Rozumie się, że «Atlas» może być z prawdziwą korzyścią użyty do uzupełnienia i objaśnienia każdego innego podręcznika Historji naturalnej.

Rysunki, których jest 1100, wiernie odtwarzają przedmioty, które przedstawiają, i są wykonane niezwykle starannie przez najlepszych rysowników.

Wogóle techniczna strona wydawnictwa tego, najściślej zgodnego z nauką współczesną, jest wzorowa i udała się pod każdym względem doskonale.

Niniejsze polskie wydanie jest opracowane podług 6-go wydania niemieckiego.